

DZIŚ
W NUMERZE:

PAWEŁ PATORA O NAJLEPSZYCH STUDENTACH ■ RYSZARD BINKOWSKI O SZKOLENIU ROLNICZYM ■ WASYL KOCZNOW O OKUDZAWIE ■ WIESŁAW JAŻDZYŃSKI O WYDAWNICTWIE ŁÓDZKIM ■ LUCJUSZ WŁODKOWSKI O PRASIE ZAKŁADOWEJ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 4 (1050)
22 STYCZNIA 1978 R.
CENA 3 ZŁ



Foto: Archiwum

Kazimierz Badziak

rok 1945 - styczeń

W wyniku walk w 1944 r. Armia Radziecka gromiąc oddziały Wehrmachtu, dotarła m. in. do linii Wisły, gdzie na jej środkowym odcinku, na południe od Warszawy zdobyła 3 przyczółki: warecko-magnuszewski, puławski i sandomierski, z których w styczniu 1945 r. wyszło natarcie wojsk 1 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego. Dowództwo radzieckie biorąc pod uwagę strategiczne znaczenie tego kierunku, prowadzącego bezpośrednio na Poznań a dalej na Berlin, ześrodkowało pod koniec 1944 r. w składzie 1 Frontu Białoruskiego pod dowództwem marszałka G. Żukowa i 1 Frontu Ukraińskiego, marszałka I. Koniewa, ogromne siły liczące ponad 2,2 mln ludzi, 36 372 dział i moździerzy, 6460 czołgów i dział pancernych oraz 4772 samolotów. O wielkości tego zgrupowania może świadczyć fakt, że wymienione siły stanowiły 31,5 proc. związków ogólnowojskowych i 43,2 proc. pancernych i zmotoryzowanych wszystkich sił radzieckich skierowanych do walki z hitlerowskimi Niemcami. Z kolei dowództwo niemieckie, które uważało odcinek frontu od Bugo-Narwi do Podkarpacia za mający znaczenie drugorzędne, posiadało na kierunku natarcia obu Frontów radzieckich związki 9 armii polowej i 4 armii pancernej. Dzięki umiejętnie przeprowadzonej koncentracji sił i środków wojska radzieckie, na tym kierunku, posiadały ogromną przewagę nad przeciwnikiem: 5,5 raza w ludziach, 7,8 — w

sprzęcie artyleryjskim, 5,7 raza w broni pancernej i 17,5 raza w lotnictwie.

Jak wspomina marszałek G. Żukow: „cel bliższy operacji 1 Frontu Białoruskiego sprawował się do tego, żeby przełamać obronę nieprzyjaciela jednocześnie na dwóch kierunkach i po rozgromieniu zgrupowania warszawsko-radomskiego osiągnąć rejon Łodzi. Dalej zamierzano naciekać w ogólnym kierunku na Poznań do rubieży Bydgoszcz — Poznań. W pierwszej wersji wspomniana operacja otrzymała nazwę: warszawsko — łódzko — poznańskiej. Zakładano, że do 25—26 stycznia wojska tego Frontu wyjdą na rubież: Łódź — Zychlin. Bezpośrednie działania wojenne wprowadziły korekty do tego planu. W literaturze historycznej nie ma zgodności co do periodyzacji etapów operacji tego Frontu, którego pas natarcia przebiegał: Bugo-Narew i dalej wzdłuż lewego brzegu Wisły, na lewo — Józefów nad Wisłą, Szydłowiec, Wołbórz, Lask, Sieradz. Na podstawie oceny działań wojennych należy przyjąć, że prawie skrzydło wojsk 1 Frontu Białoruskiego wykonało zadanie bliższe do 17/18 stycznia, gdy siły lewego skrzydła 19 stycznia, po wyzwoleniu rejonu Łodzi. Dowództwo tego Frontu przykładało dużą wagę do zdobycia Łodzi, jako ważnego ośrodka przemysłowego. W pierwotnej wersji planu zakładano, że przez Łódź przechodzić będzie główny kierunek natarcia Frontu, który następnie uległ przesunięciu

bardziej na północ w rejon Łęczycy i Kutna. W literaturze funkcjonuje pojęcie operacji radomsko-łódzkiej (14—19 I), przeprowadzonej w ramach natarcia tego Frontu przez związek lewego skrzydła, atakujące z przyczółka pod Puławami. Świadczy to o docenianiu do końca ważności tego kierunku operacyjnego. Operacja radomsko-łódzka nie jest znana szerszemu ogółowi, gdyż została jakby przyćmiona przeprowadzonymi w tym samym czasie, nie mniej ważnymi operacjami o wyzwolenie Warszawy, Krakowa i Zagłębia Śląsko-Dąbrowskiego. Błyskawiczne wyzwolenie Łodzi miało poważny wpływ na utrzymanie dotychczasowego tempa natarcia Armii Radzieckiej, nie mówiąc o wyzwoleniu bez większych strat ważnego okręgu gospodarczego. Operacja wiślańsko-odrzańska rozpoczęła się 12 stycznia natarciem 1 Frontu Ukraińskiego z przyczółka sandomierskiego w ogólnym kierunku na Radomsko — Wrocław. Do 19 stycznia wojska tego Frontu oparowały Kielce, sforsowały Pilicę, wyzwalały m. in. Radomsko i Piotrków Tryb.

1 Front Białoruski, który uderzył 14 stycznia, w krótkim czasie rozbił nad Wisłą główne siły 9 armii polowej, wyzwolił Warszawę i Radom, a 17 stycznia rozpoczął wyzwolenie ziem rawskiej, skierniewickiej i łowickiej. Działające na kierunku

Dalszy ciąg na str. 3

SIERGIEJ OSTROWOJ

PODZIĘKOWANIE ŁODZI

Gdy się wpatruję w twarz
dostojnej, robotniczej Łodzi
i kiedy mądre oczy tego miasta
ku rozmyślaniom
i działaniom mnie przywodzą
i kiedy nici tu utkane
zменяją się w minuty,
w stulecia,

w wieczność,

wiem — nigdy tego nie zapomnę,
że wczoraj miasto to
ujęło mnie za rękę,

prowadząc w dal

po pięknych, nowych swych ulicach.

27.10.1977

ANATOLIJ KRAWCZENKO

POLSKA ZIEMIA

Nie rusza się kamień
Lecz blaskiem głębinnym przeszyty
Jak płomień ku sobie się skłania,
Jak serce ku ziemi odkrytej,
Ku ziemi co nie raz cierpiała
I nie raz tonęła we krwi,
Lecz polską na zawsze została,
Na wieki, nie tylko na dni.

26.10.1977

(W drodze z Łodzi do Katowic)

Wiersze przełożył: IGOR SIKIRYCKI

Wiersze radzieckich poetów napisane podczas pobytu w Łodzi w czasie Dni Literatury Radzieckiej w Polsce.

PROGRAM DALSZEGO POSTĘPU

Przez dwa dni — 9 i 10 stycznia 1978 roku — obradowała w Warszawie II KRAJOWA KONFERENCJA PARTYJNA. Stało się już zasadą w pracy centralnej instancji partyjnej, że w połowie kadencji, w dwa lata po obradach najwyższej partyjnej władzy, po obradach zjazdu, zbierają się delegaci całej partii, aby ocenić przebieg realizacji zjazdowych uchwał.

Na VII Zjeździe PZPR przyjęto program dalszego dynamicznego rozwoju naszego kraju. II Krajowa Konferencja Partyjna — w wyniku dyskusji — stwierdziła, że „mimo wielu niesprzyjających czynników zewnętrznych i wewnętrznych podstawowe zadania wytyczone przez VII Zjazd wykonywane są pomyślnie”. II Krajowa Konferencja Partyjna uznała referat Biura Politycznego KC PZPR, wygłoszony przez I sekretarza — Edwarda Gierka za obowiązującą wytyczną dla całej partii, dla administracji państwowej oraz za podstawę dla platformy wyborczej w nadchodzących wyborach do rad narodowych stopnia podstawowego.

Realizujemy zadania wytyczone przez VII Zjazd PZPR nie bez trudności i kłopotów. Trzeba również mieć świadomość

tego, że i realizacja zadań wytyczonych przez II Krajową Konferencję Partyjną nie będzie łatwa. Ale ich realizacja jest możliwa i konieczna. Partia — zdając sobie sprawę z występujących trudności — zdecydowała się dalej realizować dotychczasową politykę wzrostu poziomu życia ludności.

Zapoczątkowany na V Plenum KC PZPR manewr gospodarczy musi być nadal rozwijany, pogłębiany i wcielany w życie. Z tego stwierdzenia wynika, że trzeba lepiej wykorzystywać posiadane możliwości produkcyjne, surowce, materiały, oszczędniej gospodarować energią. Trzeba pobudzać i wykorzystywać inicjatywę ludzi pracy. Trzeba się zająć o umacnianie dyscypliny pracy, pełniejsze wykorzystywanie dnia roboczego, doskonalenie organizacji, współpracy między kooperującymi ze sobą fabrykami. Wprawdzie wiele prostych rezerw zostało już wykorzystanych, ale posiadamy jeszcze wiele innych możliwości lepszego gospodarowania, dawania na rynek i eksport produkcji wyższej jakości, poszukiwanej i chętnie kupowanej. Na Konferencji zwrócono uwagę na konieczność przestrzegania równowagi na rynku wewnętrznym.

„Wielkie znaczenie przywiązujemy — czytamy w rezolucji II Krajowej Konferencji Partyjnej — do poprawy zaopatrzenia rynku. Zwracamy się do robotników i techników, inżynierów i ekonomistów, o wykorzystanie wszystkich rezerw dla zwiększenia produkcji wyrobów odpowiadających rosnącym i asortymentowym wymaganiom ludności. Chodzi zwłaszcza o rozwijanie ponadplanowej produkcji towarów rynkowych z zaoszczędzonych surowców i materiałów oraz poszerzenie zaopatrzenia kooperacyjnego dla rozwoju produkcji rynkowej i eksportowej. Duże możliwości zwiększenia i wzbogacenia dostaw na rynek tkwią w pełniejszym wykorzystaniu surowców lokalnych i wólnych. Zwracamy się do terenowych organów administracji i jednostek gospodarczych, spółdzielczości pracy i rzemiosła o jak najlepsze wykorzystanie tych zasobów. Ważnym zadaniem pracowników handlu jest skuteczniejsze oddziaływanie na producentów w kierunku lepszego dostosowania produkcji do potrzeb klientów, podwyższenie sprawności i kultury obsługi, doskonalenie funkcjonowania sklepów i całej sieci sprzedaży. Wydatnego postępu należy dokonać w dziedzinie rozwoju usług”.

II Krajowa Konferencja Partyjna podkreśliła też w przyjętej rezolucji wielką wagę jaką partia przywiązuje do sprawnego realizowania programu wyżywienia narodu. Konferencja zaapelowała do rolników o lepsze wykorzystanie ziemi, o szybsze rozwijanie upraw i hodowli. A do pracowników produkcyjnych sprzet dla rolnictwa II Krajowa Konferencja Partyjna zaapelowała o postępowanie w rozwijaniu tej produkcji.

Konferencja stwierdziła, że umacnia się jedność narodu, rośnie jego siła, kształtuje się socjalistyczna świadomość naszego społeczeństwa. Umocnia się kierownicza rola partii. Procesy te, które zachodzą w naszym narodzie, stanowią gwarancję powodzenia w realizacji programu partii, programu, który zapewnia całemu narodowi postęp we wszystkich dziedzinach życia.

„II Krajowa Konferencja PZPR apeluje do ludzi pracy miast i wsi — czytamy w rezolucji — o wzmożenie aktywności produkcyjnej na wszystkich odcinkach gospodarki, o powszechne podjęcie współzawodniczenia pracy w celu wyzwolenia twórczych sił naszego narodu w wielkim dziele budowy Polski i pomyślności Polaków”.

Posiadamy bowiem wszystkie warunki ku temu, aby program dalszego rozwoju Polski urzeczywistniać. Siły narodu muszą jednak zostać uruchomione i spożytkowane dla dobra nas wszystkich. W pełni wykorzystajmy społeczne siły, oto zadanie, jakie II Krajowa Konferencja Partyjna postawiła przed całą partią i całym narodem.

Konferencja przyjęła też rezolucję „W sprawie wyborów do rad narodowych stopnia podstawowego”. W rezolucji tej stwierdza się między innymi, że dokonana u nas reforma administracji przyczyniła się do umocnienia organów przedstawicielskich oraz do rozszerzenia udziału ludzi pracy w sprawowaniu władzy. Powstały korzystniejsze warunki dla bardziej harmonijnego łączenia zadań wynikających z centralnie ustalonych programów z zadaniami i lokalnymi potrzebami. „Stworzono — stwierdza ta rezolucja — korzystniejsze warunki dla wypełnienia przez rady narodowe ich funkcji ustawodawczych, inspirujących i kontrolnych w stosunku do terenowych organów administracji państwowej. Rady narodowe jako organy przedstawicielskie mają coraz większy wpływ na rozwiązywanie pod-

stawowych problemów życiowych ludzi pracy w gminach i miastach”. Fakt ten daje wyborcom do rad narodowych stopnia podstawowego szczególne znaczenie, czyni z tego ważne wydarzenie polityczne. Wybory do rad narodowych, udział w nich szerokiego rzesz polskiego społeczeństwa przyczynia się do umocnienia socjalistycznej demokracji.

„II Krajowa Konferencja PZPR — czytamy we wspomnianej rezolucji — zobowiązuje instancje i organizacje partyjne, wszystkich członków PZPR do aktywnego uczestnictwa w kampanii społeczno-politycznej wyborów do rad narodowych oraz głosowania na kandydatów FJN.

Uczynimy wszystko — stwierdza dalej rezolucja — aby kampania wyborcza przebiegała w atmosferze wysokiej aktywności produkcyjnej i politycznej całego społeczeństwa, o bywatelskiej i gospodarskiej troski o sprawy naszych miast i wsi, naszej ojczyzny”.

(L.W.)

Z TRADYCJI ROBOTNICZYCH BIBLIOTECARSTWA ŁÓDZKIEGO (III)

U PROGU NIEPODLEGŁOŚCI

Pierwsza wojna światowa, wybuch Rewolucji Październikowej powodują kolejną, wysoką falę nastrojów partyjnych, postępowych i rewolucyjnych. W ślad za tym idzie odradzanie się działalności kulturalno-oświatowej. Podjęto na nowo walkę z analfabetyzmem i szeroką akcją odczytową. W postępie geometrycznym wzrasta czytelnictwo. Krepowały, po zdławieniu rewolucji 1905 roku, pęd do zdobywania wiedzy objął ponownie społeczeństwo robotnicze.

W sprawozdaniach Towarzystwa Krzewienia Oświaty z roku 1914 czytamy, że 63 proc. uczestników kursów dla analfabetów pochodzi ze środowiska robotniczego. Dane z 1916 roku wskazują, że 60 proc. czytelników biblioteki TKO (a było ich 5) to robotnicy i rzemieślnicy. W materiałach Sekcji Bibliotecznej Towarzystwa Oświatowego „Wiedza” odnotowano, że w 1915 roku robotnicy stanowili 41 proc. czytelników a w roku 1917 już 57 proc. Polska Macierz Szkolna otworzyła na nowo swe biblioteki na Bałutach i Rokiczu.

Funkcjonują księgozbiory przy towarzystwach śpiewaczych, przy Polskim Towarzystwie Krajoznawczym. W 1916 r. powstaje biblioteka esperantystów.

Związki Zawodowe, w oparciu o stare doświadczenia, rozwijają sieć bibliotek, roztaczają działalność oświatową wśród swoich członków. Księgozbiory przy związkach można szacować na ponad 30 tys. vol. Nie zachowały się z tego okresu katalogi, wiadomo jednak, że o bok beletrystyki gromadzono literaturę fachową, abonowano gazety, tygodniki i miesięczniki, np. Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy Pracowników Przemysłowych i Handlowych prenumerowało 7 gazet, 7 tygodników i 6 miesięczników, w tym: Przegląd Techniczny, Gazetę Przemysłowo-Handlową, Ekonomistę, Kronikę Buchaltera.

Najbardziej charakterystycznym wyrazem aktywności oświatowej i czytelnictwa wewnątrz samego środowiska robotniczego była działalność Towarzystwa Robotniczego „Naprzód” oraz Robotniczego Stowa-

rzyszenia Oświatowego „Światło”. Obie organizacje były pod silnym wpływem PPS-Lewicy.

Kalendarz Robotniczy PPS z 1918 roku podaje, że w grudniu roku 1916 uruchomiono z inicjatywy robotników czytelnictwo Towarzystwa „Naprzód” a we wrześniu roku następnego Bibliotekę. Organizatorami pracy bibliotecznej byli: Antoni Kiermas, M. Dolewa, M. Jotkówna, J. Sobczak, W. Szalczak, K. Latkowski oraz Jan Augustyniak, późniejszy, wieloletni dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Jan Augustyniak pisał: „Początek był trudny, nie było książek, nie było pieniędzy, były za to wielkie chęci”. Aby zdobyć fundusze urządzano loterie, książki zbierano drogą kwater. W chwili otwarcia biblioteka liczyła 800 tomów, w roku 1919 — 2 tys. książek bibliotecznych, naukowych i młodzieżowych. Bibliotecznik-dano imię dr Klemensa Lipińskiego, zasłużonego działacza robotniczego.

RSO „Światło” utworzone zostało w styczniu 1915 roku pod

auspicjami Międzypartyjnej Rady Robotniczej oraz Komisji Międzyzwiązkowej. Współpracowali z nim działacze PPS-Lewicy: Maria Koszutska, Władysław Strzelecki, Władysław Hübner, Antoni Szczerkowski. Zarówno rodowód społeczny jak i współpraca działaczy lewicowych nadały Stowarzyszeniu charakter klasowy. Założeniem programowym „Światła” było szerzenie oświaty wśród robotników „...z punktu widzenia teorii socjalizmu”.

Towarzystwo prowadziło kursy, odczyty, biblioteki oraz czytelnictwo gazet i czasopism przy zakładanych przez siebie herbaciarniach robotniczych.

Biblioteka centralna mieściła się przy ulicy Pustej. Liczyła 2200 książek, 71 proc. całego księgozbioru stanowiła literatura naukowa i popularyzatorska. W siedzibie głównej, przy ulicy Fabrycznej 1 także znajdowała się biblioteka. Podstawę jej księgozbioru stworzył dar Towarzystwa Kultury Polskiej. Jak podaje Nowy Kurier Łódzki (z 14 XII 1915) „...w księgozbiore prócz książek polskich znajdują się dzieła w językach: rosyjskim, niemieckim, francuskim a nawet dzieła klasyczne greckie i łacińskie oraz nowe utwory i tłumaczenia esperankie”.

Księgozbiory terenowe określone były mianem „bibliotek naukowo robotniczych”.

W gazetach łódzkich tego okresu można znaleźć informacje mówiące o sprawozdaniu z Warszawy do bibliotek „Świa-

ta” oraz nowych książek przede wszystkim z dziedziny ekonomii, socjologii oraz nauk społecznych. Zwraca się uwagę, że „...wielką poczytnością cieszą się dzieła naukowo-popularne, starannie dobrane, traktujące jak najczęściej o sprawach zawodowo-robotniczych”.

RSO „Światło” działało do połowy 1919. Uznane za „siędlisko komunizmu” — zostało rozwiązane. Wielu jego działaczy nadal pracowało w ruchu oświatowym, zasilili oni szeregi TUR, niektórzy trafili do sceny robotniczej Witolda Wandurskiego.

W wyniku długoletnich starań i zabiegów postępowych działaczy oświatowych a w szczególności Towarzystwa Krzewienia Oświaty oraz Towarzystwa Biblioteki Publicznej w Łodzi dochodzi do otwarcia w dniu 11.X.1917 r. Biblioteki Publicznej w lokalu przy ulicy Piotrkowskiej 150.

Stanowiło to spełnienie postulatów wysuwanych od końca XIX wieku a mających na celu upowszechnienie oraz demokratyzację oświaty i kultury, powszechny dostęp do książki.

Biblioteka Publiczna a następnie sieć bibliotek publicznych w Łodzi nakierowana była na szeroki odbiór literatury pięknej oraz naukowej i popularyzatorskiej. Służyły temu gromadzone zbiory, odpowiedni aparat informacyjny, cały szereg form pracy popularyzatorskiej oraz bibliotekarze — działacze. Przewodził im

Jan Augustyniak, pierwszy „bibliotekarz miasta”, członek PPS, w okresie międzywojennym znany działacz TUR i członek Komisji Kulturalno-Oświatowej przy Magistracie m. Łodzi.

Podczas I wojny światowej, w atmosferze napięć społecznych wywołanych zmianami w układzie sił politycznych oraz wybuchem Wielkiej Rewolucji Październikowej toczy się walka o kierunek polityczny oraz ideowe treści oświaty robotniczej. Tacy działacze jak Szczerkowski zwracają uwagę na „...konieczność szerokiej akcji oświatowej w duchu klasowym”, Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich głosi potrzebę podniesienia stanu robotniczego pod względem religijno-moralnym, społecznym i zawodowym według zasad Kościoła Rzymsko-Katolickiego, żydowskie placówki oświatowe poprzez zebrania i odczyty propagowały idee syjonistyczne i judaistyczne, Deutscher Verein starał się ożywić „poczucie niemieckonarodowe”.

W tygłu tych wydarzeń, w klimacie walki ideowej docierająca coraz szerzej książka uczestniczyła w kształtowaniu świadomości, rozwijaniu patriotyzmu oraz polaryzacji poglądów łódzkiej klasy robotniczej u progu niepodległości.

BARBARA LIS

NAGRODY MIASTA ŁÓDZI

Z okazji rocznicy wyzwolenia Łodzi, dorocznym zwyczajem, zostały przyznane ludziom nauki i kultury nagrody miasta, które wręczono na uroczystości w siedzibie Rady Narodowej, w dniu 17 stycznia 1978 roku.

Laureatami zostali:

Prof. dr hab. med. ANDRZEJ ALICHNIEWICZ, kierownik Kliniki Chirurgii Gastroenterologicznej Instytutu Chirurgii Akademii Medycznej w Łodzi, który otrzymał Nagrodę Miasta Łodzi za całokształt działalności naukowej i

pracy lekarskiej oraz osiągnięcia w kształceniu kadry lekarskiej.

Prof. dr hab. BOHDAN BARANOWSKI, kierownik Zakładu Historii Polski Nowożytnej Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego — za całokształt działalności naukowej, dotyczącej terenów Polski środkowej, a zwłaszcza dziejów Łodzi i regionu łódzkiego.

Inż. JERZY CZACKI, dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Brańszewicach — za całokształt działalności w zakresie wdra-

żania osiągnięć nauk rolniczych do produkcji, podnoszenia kwalifikacji zawodowych producentów rolnych i prowadzenia działalności gospodarczej.

WANDA KARCZEWSKA, pisarka, członek Związków Literatów Polskich — za całokształt twórczości poetyckiej, prozatorskiej i eseistycznej oraz aktywny udział w życiu kulturalnym miasta.

WOJCIECH PILARSKI, aktor Teatru Nowego — za całokształt twórczej pracy w dziedzinie aktorstwa i reżyserii o-

raz za działalność społeczno-kulturalną.

RYSZARD STANISŁAWSKI, dyrektor Muzeum Sztuki — za całokształt działalności w dziedzinie krytyki artystycznej, wystawiennictwa, popularyzowania polskiej sztuki współczesnej w kraju i za granicą oraz upowszechniania sztuki w zakładach pracy.

Prof. dr hab. JANUSZ SZOSLAND, dyrektor Instytutu Mechanicznej Technologii Włókna Politechniki Łódzkiej — za całokształt pracy naukowej, twórczy wkład w rozwój przemysłu włókienniczego, kształcenie kadr naukowych i podnoszenie kwalifikacji zawodowych pracowników przemysłu.

ZBIGNIEW SZYMONOWICZ, pianista, kierownik Katedry Fortepianu w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej — za całokształt działalności koncertowej kompozytorskiej i pedagogicznej a także prace w zakresie upowszechniania muzyki.

KUPON

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji w kopertach z dopiskiem „Łódzianie 1977”.

Tadeusz Chróścielewski
Kazimierz Dębski
Wojciech Drygas
Teresa May-Czyżowska
Waldemar Podgórski
Włodzimierz Saar
Jerzy Samujło
Lech Sosnowski
Paweł Udorowiecki
Barbara Wójcicka:

Imię i nazwisko
Adres
Zawód

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redakto techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC.



Foto: Archiwum

rok 1945 - styczeń

Dalszy ciąg ze str. 1

łódzkim siły 69 i 33 armii wsparte 11 i 9 korpusem pancernym i 7 korpusem kawalerii gwardii w dniu 18 stycznia sforsowały Pilicę, zdobyły Tomaszów Maz. a w rejonie Piotrkowa Tryb. połączyły się z prawoskrzydłymi oddziałami 1 Frontu Ukraińskiego. Działająca bardziej na północ 8 armia gwardii gen. W. Czujkowa zdobyła Rawę Maz., kierując się w rejon Brzezin. W ten sposób przełamano tyłową (II) rubież obrony niemieckiej na linii: Pilica, Bzura, Rawka i Skierniewka.

Dowodztwo niemieckie w oparciu o prognozy strategiczne było przekonane, że ofensywa na kierunku poznańskim nie przekroczy wspomnianej tyłowej rubieży obronnej. Tym niemniej rejon Łodzi został przygotowany do obrony. W oparciu o liczne osiedla i miasta otaczające Łódź, powstała linia umocnień typu polowego z elementami półstałymi. Miasto było przygotowane do prowadzenia obrony okrzędną a nawet opracowano plany prowadzenia walk ulicznych w przypadku wtargnięcia oddziałów radzieckich. Do prac fortyfikacyjnych masowo używano ludność cywilną. W ramach systemu obrony niemieckiej Łódź wraz ze Zgierzem, Aleksandrowem i Pabianicami została przekształcona w rejon obrony. O docenieniu ważności tego rejonu może świadczyć plan, wysunięty przez szefa sztabu wojsk lądowych gen. H. Guderiana, zreszkądowania na północ od Łodzi obwodów dla frontu wschodniego, przewidzianych z frontu zachodniego lub z głębi Niemiec. W samym mieście Niemcy zestrzeliwali siły szkoły armijnej 9 armii, 791 batalion piechoty, 2686 batalion przeciwpancerny, 51 pułk łączności oraz kilka innych oddziałów kombinowanych. Wymienne siły zostały wzmocnione świeżo zmobilizowanymi jednostkami Volksturm i batalionami policji. W rejon Łodzi wycofała się część rozbitych oddziałów 9 armii. Już 14 stycznia oddziały Volksturm obsadziły umocnienia wzdłuż szosy zgierskiej, na Widzewie i w kierunku na Rzgów. W mieście wystąpiły objawy paniki, rozpoczęła się masowa ucieczka Niemców, połączona z przygotowaniami władz do jego opuszczenia. Jednocześnie trwała akcja zakładania min i ładunków wybuchowych w ważnych obiektach komunalnych i fabrykach oraz demonstataz maszyn w celu wywózki do Rzeszy.

W dniu 17 stycznia o godz. 19.00 rozpoczął się wielki nalot lotnictwa radzieckiego. Teren miasta został oświetlony specjalnymi bombami oświetleniowymi na spadochronach (tzw. „choinki”). Nalot trwał 1,5 godziny i miał znaczenie psychologiczne. Objawy paniki wśród ludności niemieckiej przerodziły się w masowy exodus. Samoloty radzieckie atakowały centralne dzielnice miasta zamieszkałe przez ludność niemiecką oraz stacje i dworce kolejowe łódzkiego węzła komunikacyjnego.

Dążąc do zatrzymania ofensywy radzieckiej dowództwo niemieckie zamierzało przetrzeć w rejon Łodzi z Prus Wschodnich doborowy korpus pancerny „Grossdeutschland”. Nie posiadając właściwego rozoznania w sytuacji, Hitler liczył się, że 9 armia utrzyma front nad Wisłą w rejonie Warszawy a 4 armia pancerna nad środkową Pilicą. Uderzenie korpusu „Grossdeutschland” miało zamknąć wyrwę na froncie na północ od Tomaszowa, zapewnić ciągłość frontu do momentu nadejścia dalszych posiłków z głębi Niemiec. Realizacja tego planu mogła dopro-

wadzić do ciężkich walk w rejonie Łodzi. W tych warunkach dowództwo 1 Frontu Białoruskiego skoncentrowało główną uwagę na przeprowadzeniu operacji łódzkiej, której ogólne założenia polegały, z jednej strony na rozbięciu sił korpusu „Grossdeutschland”, z drugiej, na opanowaniu Łodzi siłami związków pancernych z zastosowaniem manewrów oskrzydających z północy i południa, z jednoczesnym pozostawieniem Niemcom możliwości odwrotu na zachód w celu uniknięcia walk ulicznych. W operacji łódzkiej uczestniczyły znaczne siły radzieckie. Szczególne zadanie przypało jednostkom pancernym.

Wieczorem 17 stycznia 8 korpus zmechanizowany gwardii gen. I. Driemowa ze składu 1 armii panc. gw. gen. M. Katukowa dotarł z rejonu Rawy Maz. na północ od Łodzi. Brygada panc. płk. Lipiatiejkij uderzyła z marszu na węzeł kolejowy w Zgierzu z zamiarem przerwania połączenia kolejowego Łodzi z północą. Natomiast niepowodzeniem zakończyła się próba zdobycia silnie ufortyfikowanego Zgierza. W tym samym czasie 11 bryg. panc. płk. Tiemnika ruszyła w kierunku południowo-zachodnim i przez Bruzycę dotarła do Aleksandrowa. Zacięte walki o miasto, przygotowane do obrony okrzędną, trwały do czwartej rano. W dniu 18 stycznia z kierunku Zgierza nadsięły główne siły 8 korpusu zmechanizowanego. Miasto zostało ostatecznie zdobyte. Głównym zadaniem korpusu gen. I. Driemowa było opanowanie przepraw na Warcie. 18 stycznia brygada płk. Tiemnika opanowała w trudnych warunkach przyczółek w rejonie Uniejowa, gdzie następnie skoncentrowały się główne siły tego korpusu.

Przerzucany w rejon Łodzi korpus „Grossdeutschland” znalazł się w dość specyficznej sytuacji. Korpus nadciągał w transportach z Prus Wschodnich po liniach: Toruń — Kutno — Łódź, a niewielka część linii Herby — Gdynia z wyładunkiem na stacjach w Karsznicach i Zduńskiej Woli. Opanowanie w nocy z 17/18 stycznia węgła w Zgierzu spowodowało, że do Łodzi dotarły nieliczne transporty a ruch dalszych został zahamowany. Część sił tego korpusu w rejonie Zgierza została rozproszona i spieszenie wycofała się na północ. Dowódca „Grossdeutschland” gen. von Saucken zamierzał w tej sytuacji wycofać podległe sobie jednostki w rejon Kutna. Sprzeciwiło się temu dowództwo niemieckie, nakazując zosredkowanie sił korpusu i uderzenie na tyły radzieckich jednostek pancernych, które obchodzily Łódź i kierowały się nad Wartę. Liczyło ono, że ma do czynienia z ezolowymi, oderwanymi od głównych sił oddziałami pancernymi. Działanie korpusu gen. I. Driemowa miały ten nieuświadomiony sobie skutek, że odciągały siły korpusu „Grossdeutschland” od realizacji swego pierwotnego zadania, tj. uderzenia na wojska radzieckie podchodzące do Łodzi z kierunku wschodniego. Sytuacja zmieniła się jak w przysłowiowym kalejdoskopie.

W nocy z 17/18 stycznia marszałek G. Żukow został poinformowany o przetrzeć w rejon Łodzi korpusu „Grossdeutschland”. Poleciał więc gen. M. Katukowowi, dowódcy 1 armii panc. gw., przeprowadzenie natarcia w ogólnym kierunku na Poznań, z zadaniami bliższymi: przerwanie linii komunikacyjnych biegnących z północy na południe oraz rozbięcia korpusu „Grossdeutschland”. Zadanie uderzenia na „Grossdeutschland” przypało w udziale 11 korpusowi panc. gw. płk. A. Babadżaniana, skoncentrowanemu w rejonie Łowicza i Skierniewic i 16 armii lotniczej.

18 stycznia 44 brygada panc. płk. J. Gusakowskiego dokonała rajdu wzdłuż południowego brzegu Bzury w kierunku na Łęczycę i Dąbie. Brygada rozzerwała grupowanie korpusu „Grossdeutschland” na dwie części. Główna jego siła, dywizja spadochronowo-pancerna „Herman Goering” rozpoczęła koncentrację w rejonie Ozorkowa. W obliczu nadciągających głównych sił 11 korpusu panc. gw. gen. von Saucken zdecydował się na przerzucenie tej dywizji na zachód od Pabianic i Konstancynowa, a działającej na północ od Łęczycy dywizji „Brandenburg” nakazał wycofać się w kierunku zachodnim. Groźba skierowania korpusu „Grossdeutschland” do Łodzi i wzmocnienia obrony niemieckiej została ostatecznie zażegnana.

W tym samym czasie walkę z tym korpusem podjęła 16 armia lotnicza, 241 dywizja bombowców uderzyła na Łódź. Działając w 8 grupach i atakując na różnych wysokościach, dywizja zdeorganizowała pracę łódzkiego węzła komunikacyjnego, uszkadzając dworce kolejowe w Łodzi, Pabianicach i Łasku.

Skierowana z głębi Niemiec do Łodzi 412 dywizja piechoty została rozbita przez siły pancerne 1 armii panc. gw., a resztki wycofały się za Wartę.

18 stycznia związki lewego skrzydła 1 Frontu Białoruskiego otrzymały zadanie opanowania Łodzi. Do akcji weszły szybkie związki pancerne i kawaleryjskie. 11 korpus panc. gw. I. Juszcuka, który zdobył Tomaszów Maz. otrzymał zadanie uderzenia frontalnemu na Łódź. Z kolei 9 korpus panc. gw. I. Kriczenki i 7 korpus kawalerii gw. gen. M. Konstantinowa z rejonu na północ od Piotrkowa miały uderzyć w kierunku zachodnim z zadaniem zabezpieczenia powodzenia operacji z kierunku południowego. Za 11 korpusem pancernym bezpośrednio na Łódź kierowała się 69 armia gen. W. Kotłackiego. W celu zwiększenia tempa natarcia wydzielił on ze składu armii oddział pod dowództwem gen. S. A. Tichonczuka z zadaniem wsparcia 11 korpusu pancernego w walkach o Łódź. Bezpośredni udział w operacji łódzkiej wzięły oddziały wydzielone, dysponujące dużą manewrowością, posiadające znaczne ilości sprzętu pancernego i zmotoryzowanego jak i oddziały rozpoznawcze.

Interesujący manewr przeprowadził 6 korpus zmechanizowany płk. W. Orłowa z 4 armii panc. gw. gen. D. Leluszenki, działającej w składzie 1 Frontu Ukraińskiego. Wieczorem 18 stycznia korpus ten obszedł Piotrków Tryb. i uderzył w kierunku Łodzi, wchodząc w pas działania 1 Frontu Białoruskiego. Manewr 6 korpusu zmechanizowanego przypomina, choć w skromnej skali, uderzenie z kierunku południowego sił 3 i 4 armii panc. gw. z 1 Frontu Ukraińskiego na Berlin w kwietniu 1945 r. Na czele korpusu jako oddział wydzielony posuwała się 16 brygada pancerna płk. W. Rywza, atakująca wzdłuż szosy: Piotrków, Tuszyń, Łódź. Niedaleko Łodzi, na zachód od Rzgowa, grupa czołgów tej brygady pod dowództwem lejtanta M. J. Radugina stoczyła ciężki bój z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Podejście głównych sił 6 korpusu zmechanizowanego pozwoliło przełamać rubież obrony od strony południowej. Nocą z 18/19 korpus dotarł do południowo-zachodnich części Łodzi, skąd wydzielonymi oddziałami uderzył w kierunku centrum Łodzi, wzdłuż szosy Pabianickiej.

W tym samym czasie równie głębokiego rajdu dokonały siły 9 korpusu pancernego gen. I. Kriczenki i 7 korpusu kawalerii gw. gen. M. Konstantinowa. 19 stycznia w godzinach rannych 9 korpus pancerny opanował rejon: Łuszyń — Rzgów a następnie uderzył na Łódź z kierunku południowo-wschodniego wzdłuż ulic: Rzgowskiej, Studzkiej i Pabianickiej, wyzwalając ruder Pabianicką i częściowo Chojny. Część sił ubezpieczająca całość operacji, 4 korpus kawalerii gw. głównymi siłami przeszedł między Pabianicami i studzą Pabianicką ostojając walczące oddziały z kierunku południowego a następnie rozpoczął wyzwalanie Pabianic.

Atakujący frontalnie 11 korpus pancerny od rana 19 stycznia posuwał się na Łódź, zgodnie z planem 20 brygada pancerna uderzyła na miasto od strony północno-wschodniej, 63 brygada z kierunku południowo-wschodniego a z kierunku wschodniego posuwała się 36 brygada pancerna.

W godzinach przedpołudniowych została przełamana linia niemieckich umocnień polowych. Brygady 11 korpusu pancernego przysiępiły do walk ulicznych. 63 brygada pancerna przełamata opór nieprzyjaciela w rejonie na północ od Rzgowa i wkroczyła do Łodzi wzdłuż ulic Tomaszowskiej, St. Przybybszewska, Rzgowskiej, wyzwalając Wiskitno, Dąbrowę i część Chojen i Zarzewa.

20 brygada wdarła się do miasta ulicami: Strykowska, Brzezińska i dalej Wojska Polskiego a 36 brygada maszerująca szosą Rokicińską, uderzyła w kierunku centrum miasta, atakując wzdłuż Armii Czerwonej, Narutowicza i Nowotki. Na tym kierunku nieprzyjacieli stawiał zacięty opór i często przechodził do kontrataku. Długotrwałe walki toczyły się o kompleks budynków przy ul. Narutowicza, w rejonie Dworca Fabrycznego i obecnego gmachu głównego Uniwersytetu Łódzkiego. Brygady 11 korpusu pancernego posuwały się na wybranych kierunkach natarcia, dając do zdeorganizowania obrony niemieckiej. Główne siły niemieckie skoncentrowane były na Bałutach, na Widzewie i w Śródmieściu.

W walkach o Łódź wzięły udział związki taktyczne 8 armii gw. gen. W. Czujkowa. Jej dowódca przykładał duże znaczenie szybkiemu wyzwoleniu miasta. W dniu 18 stycznia główne siły tej armii wyszły na rubież Dmosin — Brzeziny — Galków. Do udziału w natarciu wyznaczono 4 dywizje piechoty z 28 i 29 korpusu piechoty oraz grupę pancerną złożoną z 11 brygad panc. gw. i 3 samodzielnymi pułkami czołgów, pod dowództwem generała M. Wajnruba. Faktycznie bezpośredni udział w wyzwoleniu Łodzi wzięły: 82 Zaporska i 12 dywizja piechoty ze składu 28 korpusu. W nocy z 18/19 stycznia 82 dywizja dowodzona przez generała G. Chetaigurowa zmieniła kierunek natarcia z zachodniego na południowo-zachodni, a o świcie podjęła walki o Łódź, zaskakując tym manewrem siły niemieckie i do południa oczyszczała z nieprzyjaciela północno-zachodnie rejon miasta. Z kolei do walki weszła 12 dywizja piechoty. Dowódca 82 dywizji tak wspominał te walki: „w likwidacji ostatnich punktów oporu przeciwnika, który usadowił się na strychach domów i w zamkniętych w bunkry piwnicach, nieocenioną pomoc okazali nam mieszkańcy Łodzi. Oni oczywiście lepiej niż nasi żołnierze wiedzieli, w jaki sposób szybciej i bezpieczniej dostać się do tych domów i bunkrów, gdzie bronili się hitlerowcy zaopatrzeni w „panzerfausty” i wielkokalibrowe karabiny maszynowe. Liczni robotnicy łódzkiej działali wówczas jako doskonale zwiadowcy naszych jednostek”. Śmiałość manewru 82 dywizji piechoty polegała na tym, że podjęła ona atak bez zabezpieczonych skrzydeł. W walkach o wyzwolenie tej części Łodzi odznaczyl się batalion piechoty dowodzony przez kpt. B. Bielajewa, który za okazane męstwo otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Zginął on w walkach o Poznań.

Wreszcie grupa pancerna generała M. Wajnruba atakowała nieprzyjaciela wzdłuż ulic Lagiewnickiej i Strykowskiej w ogólnym kierunku na plac Wolności. Oddziały tej grupy wyzwoliły znaczną część Bałut i dotarły do południowo-zachodniego skraju Łodzi. W walkach został ciężko rany generał M. Wajnrub. W tym czasie dowódca 8 Armii gw. generał W. Czujkow wraz ze sztabem obserwował walkę, o wyzwolenie Łodzi, z doskonałego punktu obserwacyjnego, jakim było wyniesienie terenowe z klasztorem w Lagiewnikach. W opublikowanych niedawno w języku polskim jego wspomnieniach z lat 1944—1945 można przeczytać następujący fragment doskonale oddający atmosferę wyzwolenia miasta: „Kiedy do miasta wkroczyły nasze pododdziały, na balkonach i w oknach pojawiały się polskie i radzieckie flagi. Z narażeniem życia szły je kobiety w długie zimowe noce. A teraz, okazując radość z odzyskania wolności, uplekszono flagami zwycięską drogę wyzwolicieli... Tłumy mieszkańców Łodzi witały na ulicach czolgistów, artylerzystów i piechurów. To było powszechne

święto. Nastąpił kres pięcioletniej niewoli”.

W połowie dnia oddziały radzieckie wyzwoliły znaczne obszary Łodzi północnej, wschodniej i południowej. Na placu Niepodległości nastąpiło spotkanie uderzeniowych grup 9 korpusu pancernego i 6 korpusu zmechanizowanego ze składu 1 Frontu Ukraińskiego. Dowódca 4 armii panc. gw. gen. D. Leluszenko, który osobiście kierował poczynaniami swoich oddziałów, spotkał się tam z płk. W. N. Baranukiem z 9 korpusu pancernego. Po południu 36, 20 i 65 brygady pancerne 11 korpusu pancernego opanowały większość Śródmieścia, docierając do ul. Gdańskiej i Wolezańkiej oraz placu Wolności. Pomocy w likwidacji ostatnich ognisk oporu wroga udzielił mieszkaniec Łodzi. Dla przykładu kolejarze przekazali dowódcy 65 bryg. panc. płk. Łukianowowi informację, że w centralnych rejonach miasta żołnierzy niemieckich ogarnęła panika. Płk. Łukianow nakazał podległym sobie jednostkom pancernym przejście na dużych szybkościach przez centrum miasta, ze wschodu na zachód, potęgając dezorganizację i przyspieszając odwrót nieprzyjaciela na zachód.

Rozbite oddziały niemieckie były wypierane w rejon Dworca Kaliskiego, Retkini i Polesia. Przy pomocy ludności polskiej opanowano koszarę w rejonie ul. Żeligowskiej. Przybyła do Łodzi grupa wydzielona gen. Tichonczuka, przysiępiła do walki z broniącymi się, izolowanymi grupami wroga na Widzewie i w Śródmieściu. Pod koniec dnia większość broniących się oddziałów niemieckich uznała dalszą walkę za bezcelową, oddając się w niewolę lub próbując przedrzeć się w kierunku zachodnich. Resztki rozbitych oddziałów wroga wycofywały się w kierunku Konstancynowa i Aleksandrowa oraz lasów beldowskich. Na zachód od Łodzi skoncentrowały się znaczne siły niemieckie, które stanowiły poważne zagrożenie dla sił radzieckich w Łodzi. Lotnictwo myśliwskie i szturmowe 16 armii lotniczej systematycznie nalotami zadawało ciężkie straty oddziałom niemieckim, szczególnie wycofującym się po trasach Łódź — Pabianice — Łask i Łódź — Dobra. Siły niemieckie nie posiadały osłony lotniczej. Z uwagi na możliwość kontrataku sił niemieckich w kierunku Łodzi ze składu 69 armii wydzielono kolejną grupę ubezpieczającą, która pod dowództwem gen. G. D. Muchina 20 stycznia o godz. 9.00 wyszła w rejon Antoniewa, 4 km na zachód od Łodzi. W tym samym czasie do miasta wkroczyły siły główne 69 armii, które długimi dywizyjnymi kolumnami marszowymi szły na Konstancynów i Aleksandrow.

Faktycznie w drugiej połowie 19 stycznia radzieckie związki pancerne przerwały działania na obszarze Łodzi. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami rozpoczęły przegrupowania w celu wyjścia w nowe rejon koncentracji, 6 korpus zmechanizowany płk. Orłowa opuścił Łódź, kierując się w rejon Bełchatowa, a 11 i 9 korpusy pancerne wraz z 7 korpusem kawalerii gw. nocą z 19/20 stycznia, po uzupełnieniu paliwa amunicji, dowozić żywności i podciąganie służb tyłowych zajęły pozycje wyjściowe do kolejnych zadań w rejonie między Łodzią i Pabianicami, by 20 i 21 dotrzeć przez Szadek na linie Warty.

20 stycznia przybyła do miasta grupa operacyjna władz polskich. Przy ul. Nowotki 21 zaczęła funkcjonować radziecka komendantura wojenna.

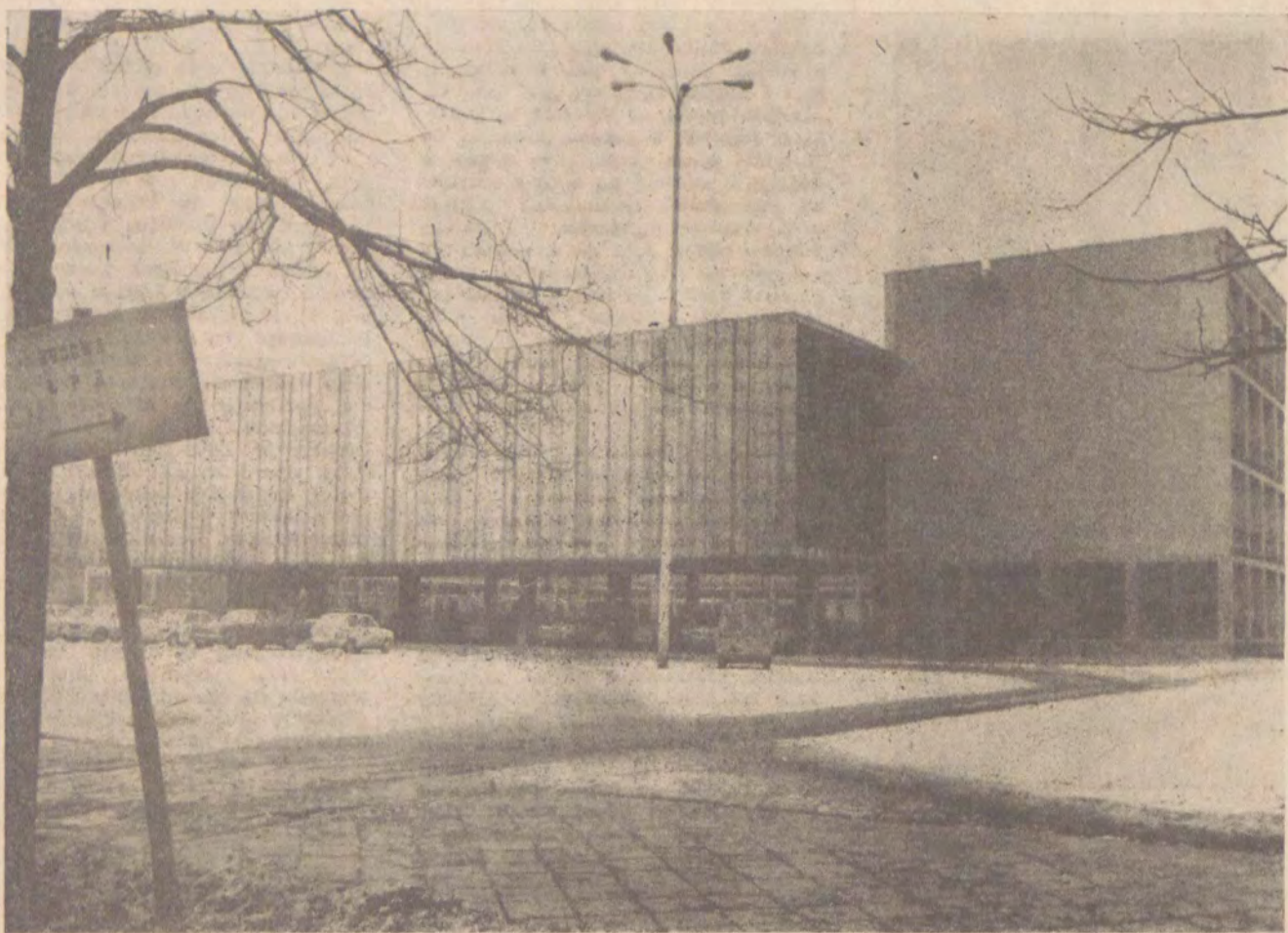
Tragicznym epizodem okupacji hitlerowskiej w Łodzi była likwidacja obozu w Radogoszczu w nocy z 17/18 stycznia, w trakcie której wymordowano lub uległo spaleniu ok. 3 tys. więźniów. Chaos ewakuacyjny i blyskawiczne natarcie wojsk radzieckich przeszkodziły w realizacji dalszych, zbrodniczych planów władz okupacyjnych. M. in. nie zdążyło zniszczyć podminowanych obiektów.

Ostatnim akordem operacji wyzwolenia Łodzi było rozminowanie miasta. Pracami w tym zakresie kierował specjalny sztab rozminowania Łodzi, dysponujący oddziałami inżyniersko-saperskimi 69 armii. Cała operacja trwała do 27 stycznia. W jej toku saperzy sprawdzili i rozminowali 177 obiektów, głównie zakładów przemysłowych. Rozminowano 14 głównych ulic długości 45 km, zniszczono 3840 pocisków artyleryjskich, 5287 różnych granatów, wiele min i różnych ładunków wybuchowych. M. in. usunęto miny z wiaduktu kolejowego przy ul. Pabianickiej i w byłych koszarach niemieckich przy ul. 1 Maja.

W walkach o wyzwolenie Łodzi poległo ponad 700 żołnierzy radzieckich. W uznaniu zasług w walkach wielu żołnierzy i oficerów otrzymano medale i szaszytne wyróżnienia, a oddziały i związki taktyczne, które wniosły największy wkład w walkę, otrzymały szaszytne nazwy „łódzkie”. 19 stycznia o godz. 23.00 w Moskwie uczczono kolejne zwycięstwo Armii Radzieckiej 24 salwami artyleryjskimi z 324 dział.

Dla Łodzi i jej mieszkańców rozpoczął się nowy okres, jakże odmienny od dotychczas przebytej drogi.

KAZIMIERZ BADZIAK



PAWEŁ PATORA

NAJLEPSI

Laureaci Konkursu Kopernikowskiego za rok akademicki 1976/77: najlepsza studentka Politechniki Łódzkiej — Leokadia Wojciechowska z Wydziału Chemicznego oraz zwycięzcy wydziałowi: Sławomir Falek z Włókienniczego, Bożena Kostecka z Budownictwa i Architektury, Karol Pec z Mechanicznego, Zbigniew Szafranski z Elektrycznego, Grzegorz Wielgosiński z Inżynierii Chemicznej (jednocześnie przewodniczący Komisji Nauki Rady Uczelnianej SZSP), Ewa Piórkowska z Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej i Barbara Szyf z Chemii Spożywczej — spotkali się niemal w komplecie w lokalu Rady Uczelnianej. Brakło jedynie dwóch studentek zamykających powyższą listę.

Spośród blisko 8-tysięcznej rzeszy studentów studiów stacjonarnych Politechniki, właśnie oni okazali się najlepsi. Nie tylko mają wzorowe oceny w indeksach, ale także pracują społecznie lub naukowo. Znajdują też czas na rozrywkę, sport, turystykę, a czasem nawet na opiekę nad dziećmi upośledzonymi, archeologię i inne. Grzegorz Wielgosiński twierdzi, że trzeba umieć racjonalnie gospodarować swoim czasem. To trudna, ale niezbędna umiejętność. Zdobywa się ją w miarę narastania liczby obowiązków.

Po takim stwierdzeniu, zamierzone przeze mnie pytanie, czy moim rozmówcom starczy czasu na sen i posiłki byłoby nietaktem. Zatem od razu przystępuję do meritum: Proszę o rady i wskazówki dla tych wszystkich, którzy chcieliby pójść w ich



Sławomir Falek

ślady. Oto zanotowane fragmenty wypowiedzi:

— „Przepis na wzorowe studia”? Kto to będzie czytał? Niech pan lepiej zmieni temat artykułu. Wzorowy student, w powszechnym odczuciu, nie jest postacią godną uwagi, a tym bardziej naśladowania. Student tzw. przeciętny, albo statystyczny, zapyta pana zaraz czy warto walczyć o piątki w indeksie i jeszcze do tego angażować się w pracy społecznej lub naukowej. I co mu pan odpowie? Owszem, są nagrody pieniężne za dobre wyniki w nauce, ale w „Puchatku” można znacznie mniejszym wysiłkiem zarobić dużo więcej.

— Przyszłość zawodowa też w niewielkim stopniu zależy od wyników na studiach. Najlepszych studentów Politechnika honoruje tzw. granatowymi dyplomami. W praktyce nie dają one żadnych dodatkowych praw. O zatrudnieniu w wybranym miejscu pracy decyduje wiele różnorodnych czynników, ale z reguły nie kolor dyplomu. Podobno mają niebawem nastąpić w tej sprawie zmiany na lepsze. Ale czy nas jeszcze obejmą?.. Miejsca w Uczelni też nikt nie może nam obiecać, bo jest blokada etatów.

— Koledzy w grupie, na roku, znają nas od dawna i dla nich jesteśmy zupełnie normalnymi ludźmi. Jeśli jednak ktoś obcy się dowie, że ma do czynienia z najlepszym studentem na wydziale, zazwyczaj nie może opanować ciekawości i pyta: Czy ci się to oplaca? Co z tego masz? Czy byłeś kiedyś w kinie lub na dyskotekę?, albo obserwuje z takim samym zainteresowaniem, jakim darzy się ostatnich przedstawicieli

jakiegoś wymierającego gatunku zwierząt.

— Z tym ginącym gatunkiem to przesada. Jeszcze dwa lata temu tylko cztery osoby w Politechnice otrzymały ponad pięć punktów w Konkursie Kopernikowskim. Przed rokiem takich osób było już dziesięć, a ostatnio, tzn. w roku akademickim 1976/77 — czterdzieści. Wzrasta nie tylko liczba, ale i poziom czołówek: podczas, gdy w roku 1974/75 wystarczyło zgromadzić 5,27 punktu, aby wygrać konkurs w PL, laureatka za miniony rok zdobyła 5,78 punktu. Niełatwo jest uzyskać taki wynik. Ważną rolę odrywa tu średnia ocen, ale przysłówowym językiem u wagi, jest zaangażowanie studenta w pracy społecznej i naukowej, za co można otrzymać łącznie maksimum jeden punkt.

— Lepsze wyniki uczelnianej czołówki wcale nie świadczą o wzroście popularności Konkursu Kopernikowskiego. Przeciwnie, nikt z nas nie zgłaszał swego udziału w tej imprezie. Ona odbywa się bardzo dyskretnie: Rada Wydziałowa bierze z dziekanatu wykaz ocen wszystkich „podejrzanych”, następnie przydziela wedle zasług punkty za pracę społeczną i naukową, wreszcie dodaje je do średniej oceny. Otrzymała w ten sposób łączną liczbę punktów sam zainteresowany poznaje zwykle na końcu.

— Od dawna marzą mi się plakaty i ulotki obwieszczone wszystkim studentom PL o kolejnej edycji Konkursu, gabloty ze zdjęciami najlepszych na każdym wydziale, a nie tylko na niektórych, jak to ma miejsce teraz. Marzą mi się też nieco wyższe nagrody dla zwycięzców. W bieżącym roku nagrodzono 165 osób talonami książkowymi o wartości od 70 do 400



Bożena Kostecka

złotych. Jest to maksimum środków, jakie można obecnie przeznaczyć na te cele. Jako szef Komisji Nauki przy Radzie Uczelnianej nie jestem w stanie zwiększyć tej sumy. Natomiast zapewnienie lepszej niż dotychczas oprawy propagandowej konkursu jest zadaniem, które uczelniana Komisja Nauki musi wspólnie z wydziałowymi wykonać już w tym roku.

— Trudno jest udzielać rad kolegom, gdyż na końcowy efekt składa się wiele czynników. Niewątpliwie, bardzo ważny jest kapitał wyniesiony ze szkoły średniej. Myślę tu nie tylko o nabytej wiedzy, ale też o ukształtowaniu umiejętności samodzielnego uczenia się. Taka baza bardzo ułatwia start na studiach. Później wiele zależy od pracy nad sobą. Konieczna jest silna wola, samozaparcie i nieustępliwość. Cechy te może w sobie wyrobić tylko ten student, któremu bardzo zależy na dobrych wynikach. Bardzo chcieć — to konieczny, choć nie jedyny, warunek sukcesu.

— Podstawą powodzenia jest, moim zdaniem, umiłowanie wybranego kierunku studiów, pełne zadowolenie z wykonywanej pracy. Idealna jest sytuacja, w jakiej obecnie sama się znajduje: wykonując codzienne obowiązki realizują jednocześnie swoje



Grzegorz Wielgosiński

sochłonne. Duża ilość obowiązkowych zajęć na uczelni, samodzielna nauka, ćwiczenia obliczeniowe oraz projektowanie — wypełniają po brzegi większość czasu wolnego od snu. Jakikolwiek, nawet najdrobniejsze zaniedbania są bardzo trudne, a często wręcz niemożliwe do odrobienia bez burzenia ustalonego tygodniowego planu zajęć. Systematyczność jest więc niezbędna.

— Na wyniki studiów duży wpływ mają też warunki zewnętrzne, niezależne od studenta. Ja miałem do szczęścia, że znalazłem się w grupie dziekańskiej reprezentującej wysoki wyrównany poziom. Atmosfera rywalizacji w grupie bardziej dopinguje do pracy, niż formalnie organizowane konkursy. Do czynników zewnętrznych, które ułatwiły mi zwycięstwo na wydziale zaliczyłbym też fakt, że w minionym roku akademickim mieliśmy łatwiejsze niż poprzednio egzaminy.

— Dużo zależy od prowadzących zajęcia. Niestety, nie każdy posiada tzw. talent pedagogiczny i nie wszyscy z jednakową odpowiedzialnością i sumiennością traktują swe obowiązki dydaktyczne.

— Architektura jest tu na pewno przykładem pozytywnym. Tak się składa, że należę do grupy pierwszych studentów tego kierunku w Politechnice Łódzkiej. Od samego początku kończyłem się już w tym roku studiów spotkałymi się z życzliwością wyładowców i asystentów. Już na pierwszym i drugim roku zapoznawano nas z pracami naukowymi instytutu. Nauczyciele akademicy byli naszymi przewodnikami po architekturze. Potrafiliby nie tylko zainteresować przedmiotem, ale „zarazić” nas swoim entuzjazmem. Wiem, że bezpośrednia, koleżeńka, a czasem wręcz przyjacielska współpraca pracowników naukowych ze studentami byłaby znacznie utrudniona, gdyby było nas na roku 250 lub 200, jak to jest na mechanice lub elektronice. Jednak nie mniej ważna od liczby studentów na danym kierunku jest obustronna chęć współpracy wykraczającej poza ramy obowiązkowych zajęć przewidzianych w rozkładzie tygodniowym.

Ożywiona dyskusja trwała długo. Brak miejsca nie pozwala już pisać o studiach indywidualnych, zapotrzeniu w skrypty i podręczniki, warunkach pracy w DS oraz o wielu innych sprawach mających istotny wpływ na wyniki w nauce.

Choć przepis na wzorowe studia oczywiście nie sformulowano, to jednak sądzę, że szanse na sukces daje tylko spłot jak największej liczby korzystnych czynników, o których wspominał dyskutanci i chyba jeszcze jednego — odrobiny zdolności.



Karol Pec

marzenia, pragnienia i aspiracje życiowe. Uczuciowe zaangażowanie w to, co się robi, wyzwala ogromne ilości pasji, energii, zapału i żarliwości. Poprawnie wykonywać po-



Zbigniew Szafranski

wierzone zadania może każdy, wzorowo — tylko ktoś miłujący swą pracę.

— Jestem innego zdania. Mimo, że otrzymałem miano najlepszego studenta Wydziału Włókienniczego, całe życie marzyłem o archeologii. Znam kilku archeologów i wiem, że mają ogromne trudności z otrzymaniem zgodnej z wcześniejszymi wyobrażeniami pracy przy wykopaliskach. Stąd moja decyzja: skończyć studia politechniczne. Włókiennictwo traktuję jako zawód, który musi zapewnić mi w przyszłości środki do życia. Staram się uczyć sprawnie i efektywnie, aby uzyskać możliwie najlepsze wyniki w jak najkrótszym czasie. Chodzi o to, by wygospodarować jak najwięcej czasu na lekturę z archeologii.

— Twoja pasja, jak każda, budzi mój szacunek, ale nie zazdroścę ci takiego rozwinięcia. Dla mnie architektura jest jednocześnie zawodem, ale i treścią życia.

— Podobnie jak dla mnie mechanika. Lubię projektować. Największą satysfakcję odczuwam wtedy, gdy spojrzę na gotowy projekt urządzenia, który powstał przez wiele miesięcy. Oczywiście, zainteresowanie wybranym przedmiotem ułatwia pracę, ale podstawą wszelkich sukcesów w nauce może być jak sądzę, tylko solidna, systematyczna praca. Studia politechniczne są bardzo cza-



Barbara Szyf

Foto: W. Parys



Leokadia Wojciechowska



Foto: J. Mróz

RYSZARD BINKOWSKI

PRZESKOK

Kombinowało się tak, żeby wyjść na swoje. Uchowac dwa świniaki, pulknąć w łeb i o mięso się nie martwić. Krówkę trzymać, mleko mieć dla siebie, a żyto niech leży w workach do żniw, bo nie wiadomo, czy w geesie dostanie się paszę i węgiel. A ziemię przorać, poczekać aż coś wyrosnie. Wyrosnie, albo nie wyrosnie, grunty nie zmeliorować. Najlepiej więc sobie dorobić. Piotrków bliższy, ale Łódź też dobra, forsy można załapać lekko i wygodnie.

No i rósł wskaźnik dwuzawodowych. Może nie tak wśród starszych, jak pośród młodych. Kto bowiem rządził na zabawach, panny rwał i fundował, rzucał pięćsetkę? Ten, co w fabryce, lub na budowie. A chłopak z gospodarstwa przez godzinę molestował ojca, zanim poszedł do rezerwy z matną stówką w kieszeni. Na pół litra nie starczyło, a gdzie bilet, czekolada dla panny? To się chłopak miał prawo wściekać. I zamiast na morgi, tęsknym okiem zerkał na Łódź, Piotrków, Pabianice, później Bełchatów.

Wprawdzie zaraz po siedemdziesiątym roku trochę się odkłębilo, ale w wielu wsiach gminy Grabica ziemię miano w tej szerszej twarzy. Przyszła nowy naczelnik, młody, zapalczywy, absolwent SGGW. Mówił: „Konię z gospodarstwami — trupami! Albo ziemia, albo „Bistona“... A jak nie, to renta albo przymusowy wykup”.

Szef raczkującej SKR twierdził, że wszystko zagospodarowane. Służba rolna potakiwała. U chłopów też wszystko w porządku. A tu i ówdzie, za łaskami, krzakami, niewidoczne z drogi, leżały hektary odłogów.

Ci, co ziorzeczyli, płakali, dzisiaj są naczelnikowi wdzięczni. Ziemię oddali, dostali rentę, dorabiają sobie na różnych lekkich pótetach. Urząd się z nimi nie męczy, oni się nie męczą z ziemią, z którą nie umieli sobie poradzić.

Ale większość na wieść o zdaniu ziemi śmiała się w żywe oczy. Ziemia? A bierz pan ziemię!

Byli przekonani, że nikt tej ziemi nie uprzą. No, jak mieli przykłady nieporadności ze strony SKR, to ich punkt widzenia był słuszny.

— Okazato się jednak — mówi I sekretarz KG PZPR, Florian Filippek — że mimo różnego tam gadania główną rezerwą jest ziemia. I doszło do tego, że zabrakło nam w gminie 800 ha. To wyjaśni naczelnik, on lubi o tym mówić, żyje tym. Ja tylko dodam, że ta duża gmina (12.707 ha, 28 sołectw, 7.016 mieszkańców) nadal jest biedna, ale jest silna. Biedna, bo nie ma wcale przemysłu, żadnego zakładu opiekuńczego, gdyż piekarnia geesu to żaden zakład. Silna, ponieważ ma jeden z najwyższych wskaźników w kraju jeśli idzie o hodowlę

trzody chlewnej — 227 sztuk na 100 ha. Hodowla poszła w górę, bo po zmeliorowaniu 80 proc. gruntów wzrosła produkcja pasz. Silna, bo świetnie zmechanizowana. Syren i fiatów nie liczę, ale jeśli powiem, że rolnicy indywidualni mają 280 ciągników, kilkadziesiąt sнопowiązalek, kombajny zbożowe, ziemniaczane i do zbioru kukurydzy, to już coś to znaczy.

Gmina jest biedna, gdyż dopiero teraz oddaliśmy pierwsze po wojnie przedszkole i nowy Ośrodek Zdrowia. Mieszkamy w drewniakach, ale obok wznosi się piętrowy budynek dla urzędu gminy. Nadal jednak w Grabicy nie ma żadnego klubu, a mieszkający w agronomówce ludzie klną, bo duszą się w tej przed laty zaprojektowanej klatce.

Ale dość narzekają. Ta biedna gmina w 1974 roku zajęła trzecie miejsce w kraju w konkursie „Gmina mistrz gospodarności”. Najbardziej cieszy fakt, że problem chłoporobotników zszedł u nas na margines, oni nas po prostu nie interesują. Musiało się tak stać, ponieważ rolnictwo stało się atrakcją. Ja myślę, że wynikało to z kilku powodów. Z nowej polityki państwa i rzędu wobec rolnictwa z jednej strony, a tu, na własnym podwórku, zadecydowała właściwa gospodarka ziemią, komasacja, melioracja i troskliwe podejście do spraw oświaty rolniczej.

Ściany gabinetu obwieszono są dyplomami. Za osiągnięcia gospodarcze dla gminy i za działalność sportową, dla naczelnika. Między innymi dożynkowymi piękne puchary, jeden m. in. za zwycięstwo w wojewódzkim finale „Złoty kask” w 1976 roku. I, rzecz jasna, naczelnik, Stanisław Kardas, młody człowiek, smagły, o bystrych ciemnych oczach i przejrzystej życzliwej twarzy, zaczęła od sportu. Ze wreszcie zbudowali stadion przy szkole podstawowej w Szydłowie. Przy szkole, bo jak się zbuduje obiekt, to trzeba go utrzymać, żeby nie zarósł. Dyrektor szkoły jest gospodarzem, wszystko gra, wszyscy mogą korzystać. Szykuje też trochę wody do kąpienia, taki jednohektarowy zbiornik retencyjny.

— Ale nie mniej głośna w pańskiej działalności — przerywam mu — jest ta „rewolucja” w gminie z lat 73—74.

— Teraz już nie ma tych dyskusji w rodzaju „albo Bistona”, albo gospodarstwo”. Ale były, nieraz nawet dramatyczne. Tylko o czym było gadanie? Jak się kto gnoli brzdzi, to nie ma się co czeplać ziemi. A inni machali na wszystko ręką. Neech biora, ja nie będę likwidował ugorów, bo i tak nie nie zyskam. Nie wierzyli, że się odwrócą na lepsze. I ja się wcale im nie dziwiłem. Chłop nieraz, za przeproszeniem, dostawał

w dupę, to skąd nagle miała być u niego ta wiara. Mylili się ci, co sądzili, że przejętej ziemi nie będzie miał kto obrabiać. Ze SKR, PGR lub RSP pogubią się, nie trafią do tych rozrzuconych po gminie działek kawałków gruntu. A myśmy skomasowali 400 ha dla SKR w siedmiu kawałkach, i to w dobrej klasie. W kraju SKR mają ziemię średnio w trzydziestu kawałkach i dlatego SKR niezbyt sobie radzą z uprawą. Druga sprawa, to skomasowanie w północnej części gminy czterech Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych i jednego PGR. RSP mają w sumie 600 ha, ale chciałoby jeszcze po 150 ha każda. I to jest właśnie te 600 ha, których nam zabrakło. Ale w latach 76—78 zaplanowaliśmy przejąć 1030 ha. W zeszłym roku przejęliśmy już 816 ha...

— Scalanie i wymiana gruntów zdecydowały o tym ogromnym przeskoku?

— Tak bym tego nie określił. Jednakże komasacja i likwidacja gospodarstw podupadłych doprowadziły do tego, że mamy obecnie większość gospodarstw dużych, przeciętna wynosi 7 ha. A takie gospodarstwa dają szansę wzrostu i rozwoju produkcji. I wyniki już są. Wsie zaczęły się specjalizować w hodowli. Przede wszystkim trzoda chlewna, ale także bydło i owce. Jak gmina kontraktuje 9 tysięcy sztuk trzody chlewnej, to jest się czym pochwalić. Zysk dla chłopów i dla państwa. Ale to są już nie ci sami chłopcy, co kiedyś. Ja mam kolegę, inżyniera magistrą, który prowadzi dwudziestohektarowe gospodarstwo. W urzędzie gminy pracowało ze mną czworo młodych ludzi, z wykształcenia techników rolników. Porozmawialiśmy kiedyś serdecznie. Oni mówią, co my będziemy przy naczelniku siedzieć i chłopów nauczać. I poszli na własne gospodarstwa. Miałem ich zatrzymać? Może nie dostanę rozgrzeszenia, ale wiem, że jak ktoś za pensję 4 tysiące uczy takich, co zarabiają dziesięć, to się głupio czuje. A jednocześnie cieszy mnie, gdy przychodzi do mnie chłopak, który jeździł na wywrocie w Bełchatowie. Panie naczelniku, mówi, te osiem, dziewięć patyków się wyjeździło, ale po cholere, ja mam się trząść w tym pudle? Żeby mi się żołądek opuścił? Wziął ziesięć macior i trzaska tyle warchlaków, ile kiedyś dawała cała wieś, w której mieszka.

— Puścił pan urzędników na gospodarstwa. Następcy się znaleźli?

— Urzędników mogą mieć w każdej chwili. I to takich z praktyką nie tylko biurową. Nie, żeby mieli głowy ponabijane mądrością książkową, ale żeby potrafili śiać, orać i krowy doić. I to jest sprawa, o którą panu, jak się orientuję, głównie idzie. Tak, oświata rolnicza stoi u nas na pierwszym planie.

Kardas mówi, że przed laty na Szkoły Przystosowania Rolniczego i tzw. Przystosowanie Rolnicze psociono, ale nikt się nie wziął, żeby coś poprawić. Ale kto się miał wziąć, kiedy SKR były w gruncie rzeczy dzieckiem nieczyim? Nie więc dziwnego, że od rodziców i działaczy wychodziły postulaty, żeby coś zmienić, bo poziom niski i ograniczony. Koło się zamykało. Uczniowie decydowali, czy nauczyciel będzie nauczycielem. Tak jest! Jak nauczyciele stawali dwójce, to uczniowie szli do domu i więcej do szkoły nie wracali. I nauczyciel nie miał co robić. Zeby uczniowie nie uciekali, wydano rozkaz nauczycielom, żeby nie stawali dwój i nie zostawiali na drugi rok. No i poziom był wtedy taki, że płakać się chciało.

— Aż w końcu wyniknął problem żywnościowy.

— Właśnie! I wówczas zrozumiano, iż tacy niedouczeni rolnicy nie podniosą produkcji.

— Ustawa o rentach i emeryturach wzmogła pęd do nauki.

— O, nie tylko! W naszej gminie chęć kształcenia się wzrosła o wiele wcześniej.

— Dlaczego?

— Spowodował ją... brak ziemi. Widzi pan, rolnicy rzucili się na hodowlę. Zrozumieli, że interes bardzo rentowny, poznali smak zysku. Nie chcieli dopuścić do tego, żeby wypaść z hodowli. A warunki do tego zmuszały. Brak pasz treściwych. Trzeba było więc zebrać pasze z własnej ziemi. Ale tej na utrzymanie dużej hodowli, np. warchlaków było za mało. Zaczęli więc dokupywać ziemię. I wtedy — stop! Kupisz ziemię, jak będziesz miał uprawnienia. Dla niektórych był to cios. Bo, prawdę mówiąc, mamy wielu bardzo dobrych rolników, którym brakuje tylko papierka.

— Ale dla starszych nie otwiera się Zasadniczej Szkoły Rolniczej.

— Ale na ich żądanie. Rodzice widząc, co się święci, jakie są perspektywy, postanowili kształcić dzieci na rolników. Bo najgłupszego nie sposób już zostawić na gospodarstwie. I dlatego otworzyliśmy w Szydłowie Zasadniczą Szkołę Rolniczą. Dojazd jest znakomity, blisko, uczą się więc w niej młodzi z sąsiednich gmin. Ale 85 proc. stanowią uczniowie z gminy Grabica. Najwięcej cieszy to, że większość to chłopcy.

— A uczniów dużo?

— Sto pięć osób.

— Jak na gminę to rzeczywiście dużo. Szkoła musi być atrakcyjna.

— Tak jest! Absolwenci otrzymują prawo jazdy na ciągnik oraz samochodowe i motocyklowe. Kto by nie chciał się tego uczyć? Ponadto w ZSR prowadzi się kursy dla ochotników z gminy Grabica. Najwięcej cieszy to, że omlotowych i kombaj-

nistów. Z kursów korzystają nie tylko uczniowie, ale i dorośli rolnicy.

— Wiem, że dorośli bardzo często pragną zdobyć średnie wykształcenie.

— Mielśmy wśród kadry pracowników GS, SKR, PGR i spółdzielni produkcyjnych sporo ludzi bez średniego wykształcenia. Aby im ułatwić zdobycie matury, otworzyliśmy przy ZSR w Szydłowie trzyletnie Wieczorowe Technikum Rolnicze, do którego wstęp mają absolwenci zasadniczych szkół rolniczych. Trafiliśmy w dziesiątkę, bo zapotrzebowanie na tę formę kształcenia okazało się ogromne. W tej chwili uczy się 56 osób, w tym wielu rolników indywidualnych. Ale wie pan, do Technikum przyszli ci, co ZSR kończyli przed rokiem i tacy, co otrzymali świadectwo przed pięciu laty. Wywierzają z głowy, braki, kłopoty. Dla wyrównania poziomu zorganizowaliśmy kursy przygotowawcze. Chętnych nie brakuje.

— Istnieją też formy oświaty rolniczej pozaszkolnej.

— A tak, o tym jeszcze nie mówiliśmy. W ubiegłym roku w trzech punktach prowadziliśmy kursy na tytuł wykwalifikowanego rolnika. Ukończyło 147 osób. Obecnie w siedmiu punktach zdobywa ten tytuł 240 osób.

— Tu też coraz więcej chętnych.

— Bo tytuł kwalifikowanego rolnika stanowi podstawę do uzyskania renty.

Już po rozmowie z Kardasem przyszło mi na myśl, że nie tylko to decyduje. Rolnik kwalifikowany łatwiej zdobędzie kartę gospodarstwa specjalistycznego. A do takiego gospodarstwa GS ma prawo dowieść pasze, węgiel, materiał siewny i zabrać plody rolne.

Zastanowiłem się też, jaka naprawdę jest ta gmina Grabica? Biedna, bo nie posiada jeszcze wielu placówek niezbędnych do dalszego rozwoju. Nie ma też mecenasa, który by wspierał finansowo.

Ale ludzie nie żyją tu ubogo, tak jak przed dziesięciu laty. Jadąc od Wadłewa przez Rusociny widzi się wprawdzie sporo starych, lichych domów, ale w głębi obejść prawie wszędzie stoja nowoczesne obory, wstodzie i chlewnie. I to jest zrozumiałe: najpierw należy rozwinąć hodowlę, która da pieniądze na nowy dom.

No i trzeba się uczyć uprawiać ziemię, żeby — jak mówi naczelnik Kardas — w kartoflach nie plewilo się zielsko, które zapycha kombajn ziemniaczany, a plantator tego zielska klnie, że w SKR mają partacki sprzęt.

Jak dotąd wychodzi jednak na to, że w gminie Grabica najwcześniej zostanie zrealizowany program nowoczesnej szkoły średniej. I nie wiadomo, co będzie dalej, bo Stanisław Kardas nawiązuje już kontakty z warszawską SGGW. Co wieś, to jakiś magister na zagrodzie, cholera...



Foto: W. Paryś

BUŁAT OKUDŻAWA

STOMOKSIS

I właśnie w tym momencie ona znów podeszła i podawczy mu kubek z parującym mlekiem odwróciła się po to na pewno, aby go nie krepować, a on z rozkoszą zaczął pić mleko i na śmierć zapomniał o przygotowanej oracji. Po co w ogóle mówić? Chyba nie miałoby to sensu. Nie znał nawet jej imienia. Po prostu przechodził tędy, zobaczył ją w oknie, chciał z nią pożartować, ale przestraszył się jej niebieskich oczu i zmieszany poprosił o kubek mleka. Dlaczego akurat mleka? Nie umiał tego wyjaśnić.

Dopil mleko, bez pośpiechu zwrócił kubek i właśnie w tej chwili, kiedy miała już odejść, ogarnął go nagle lęk, że nigdy więcej jej nie zobaczy, chociaż trzydziści lat żył nie znając jej i chyba mógł żyć jeszcze długo.

Ten lęk poderwał go ze schodków, na których nie wiadomo dlaczego przysiadł.

W świecie, w którym istniały motyle i ważki, mnóstwo zwierząt, gdzie rosły drzewa i płynęły obłoki, w świecie, w którym ludzie wymyślili miłość i pocałunki, pieśni, składanie życzeń, gdzie sasiadowały ze sobą strach i śmiech, narodziny i śmierć, w tym świecie nie mogło istnieć tak sobie i po prostu, wszystko miało swoją przyczynę.

To był chyba podstawowy sens tego świata, a w samym jego środku znajdowały się schodki, na których właśnie w tej chwili przed obliczem swojego losu siedział Paweł Sytow.

W lewej ręce trzymał gitarę. Niedziela miała się ku końcowi i czas już było wracać do Moskwy, ale nie wyobrażał sobie jak mu się to teraz uda, a i ona wcale nie weszła z powrotem do domu, mecząc go, wywołując w pamięci nieśmiętne wspomnienie jego niedościgniętej Marusi.

Co on tu robił? Po co to wszystko? Marzył przecież, że będzie odwiedzał różnych nieznanymi ludzi, patrzył im w oczy i mówił:

— Dzień dobry. Jestem Sytow, z gitarą. W ogóle to jestem tokarzem. Ale co niedziela gram na gitarze, na starożytnym instrumencie, który nazywał się cytra i wydawał dźwięk przy pomocy szarpania. Witajcie, jestem Sytow. Jeśli komuś coś potrzeba, jestem do usług...

Nagle poczuł, że ona patrzy na niego z ciekawością. Patrzy — i nic więcej. Ale nie odważył się unieść głowy, aby zobaczyć, jak ona to robi. A może ona przygląda się przedrzeźnianiu włosów na jego ciemieniu i zna tajemniczy sposób na ich porost?

Zebrał się w sobie, przezwyciężył swój strach i spojrział, ale już jej nie było.

Smutne i śmieszne jest takie samotne siedzenie na ganku. A tam, za drzwiami, ona cichutko chodzi po mieszkaniu, i na pewno myśli — czy on poszedł sobie, czy nie.

A niech to diabli! Od tego mleka jakiś wstętny smak w ustach... Lepiej by piwa... Czy ona się Nastasia nazywa, czy Inacez? A gdyby tak wejść? Nawet nie zapukać, a tak po prostu. Oto jestem Sytow z gitarą... I wiesz, notabene, myślę, że nie ma sensu żebym przychodził tutaj wiele razy tylko dlatego, że tak się utarło, lepiej od razu, za pierwszym razem. Ja też mam swoje zalety, które się na ulicy nie walała... Jestem Sytow, a Ty?

A tymczasem robiło się coraz ciemniej, akurat zaszło słońce i wierzór otwierał już drzwi. Potem przyjdzie noc, w sierpniu nocie są ciemne, geste, jakby bez nadziei na ranek.

Nieoczekiwanie Sytow postanowił, że nie ruszy się z tych schodków. Przecież człowiek chyba ma prawo nie ruszać się, jeśli mu się nie chce ruszać, choć ruszyć się powinien? Bo jak przyjdzie ostatnia minuta życia i zapytasz sam siebie: „Na jak, bracie?” — to odpowiesz: „Tak sobie...”, „Czegoś się bałeś?” — „A bo ja wiem czego? Bałem się — i tyle, krepowałem się chyba, albo nie nauczyłem mnie Inacez...”, „Jakże to tak, bracie? Teraz już za późno...”, „To prawda...”. Nie przecieży więcej i nie wymyślisz w odpowiedzi.

I dlatego właśnie trzeba czasami pozwolić sobie na pewne rzeczy, zapomnieć o wszelkich zasadach nie po to przecież, żeby zabić, krzywdzić czy kraść... Nie po to, nie, a tylko z tej przyczyny nie ruszać się z cudzych schodków, żeby doczekać się jej, a może i nie, po prostu siedzieć dlatego, że chce się siedzieć.

To takie piękne: wieczór, liście szumia, gwiazdy (a więc deszczu nie będzie), cisza, gitara ciepłym swym bokiem opiera się o ciebie. Prawdziwa cytra! Zresztą, może być i tak, że ona ma inny obiekt zainteresowania: przypuścimy, ma innego. W takim razie, gdzie on jest? Łazikuje? Albo śpi może w domu? Leży na wznak z otwartą gębą i zupełnie o niej nie myśli? Jeśli tak, to nie ma czego robić cegielnie, można poczekać... A może tamten zakochany jest w niej bez pamięci... Co wtedy? To gdzież on jest? Czyż jego miejsce nie jest tutaj, na schodkach, obok Sytowa? Chociaż, z drugiej strony, czemuż to on, Sytow, nie siedzi na schodkach Marusi?!

Tymczasem wieczór przyplynał. Sierpień — to nie lipiec. Powietrze było zimne. W domu cisza. Może ona myśli, że on poszedł sobie i dlatego się nim nie interesuje? Rzeczywiście, dlaczego ona nawet nie wyrzy? Jeśli uważa, że on już poszedł, to czemu by nie pobrzdać na gitarze — i samemu przyjemnie, i ona by się domyśliła.

Dotknął miedzianych strun palcami chłodnymi od rosy wieczornej... W tej samej chwili jedno z okien domu zaświeciło się i żółty odbłask padł na Sytowa.

Nie, to wcale nie jest śmieszne, że on siedzi tutaj z zębionymi i w dodatku z gitarą. Kto inny tak by nie siedział. Dawno zapukałby...

Sytow z rozpaczą i nadzieją znów szarpał struny. Ale ona nie wyszła, a zamiast niej wypłynął obraz Marusi, która stała i patrzyła na niego z wyrzutem.

Oczywiście, wyobrażać sobie można wszystko, co do głowy wpadnie, ale powinien mieć przecież sumienie, a ono jakby się gdzieś zawieszyło.

„Pomyślmy o takiej rzeczy: po co to wszystko? Ale czy ktoś potrafi tak od razu określić: po co i na co? Dlaczego siedzę tutaj w tej jasnej zimnej noc na schodkach z gitarą, jak idiota? Dlaczego jedna nie wychodzi z domu, a druga — z głowy? Stoi tutaj blisko, obok tego krzaka? Białynie, złożone ręce, oczy pełne cierpienia, a w sercu... Ze też takie głupstwa mogą człowiekowi zaprzatać głowę! Romans? Przebrzmiała historia!”

Znów dotknął strun. Marusia zachwiała się przy krzaku. Zachwiecie się każdy — takie zimno! Żegnaj lato...

Ale Marusia postąpiła w jego kierunku i wyciągnęła rękę.

— Zwariowałaś?

— Ani trochę, — rzekł Sytow, a zresztą, któż to wie?

— Siedzisz na cudzym ganku... Ech ty!

— Nie mów nikomu, — mówi Sytow, — to przejdzie... Tylko gitary mi żal.

Odebrała mu gitarę i odeszła. Poszedł za nią. Szedł za nią lekkiem indyjskim krokiem i rozmyślał, że teraz leje go nie zaskoczy, a jak wyjdzie z gestwiny — zaraz będzie z nim koniec. Uniósł strzelbę i wystrzelił w niebo, tak sobie, wziął i strzelił. Od razu zniknęła i Marusia, i jejeli, i strzelba. Te same schodki, ten sam ganek, rano, rosa gesta jak piana na piwie. Zimno. Kolo domu stał motocykl. Motocyklista puknął do jej okna. Był w sztybelach i w czarnej skórze na ekspres. Wysoki, barczysty... Sytow o mało nie wrzasnął — co to za moda tak wczesnie do okien walić, ale opamiętał się: przecież dom nie jego i okno nie jego, i ta — co za oknem — też. A tamten puknął radośnie i zuchwale, jak dziecięciu w drzewo. Sytow postanowił przycałać się: może go nie zobacza.

Potem drzwi się otwarły, zbiegła po schodkach i tak się przy tym spieszyła, że go nawet nie zauważyła siedzącego! Pocałowała tamtego w skórze i usadła za jego plecami obejmując go ramionami.

Polecieli na przelaz po trawie, jakby Sytowa wcale na tym świecie nie było, polecieli tak, że miał ochotę krzyknąć, zaptać: dokąd to wchodzą? Czyż można być tak nie do wiary szczęśliwym?

Potem znalazł się kolo stacji w tym miejscu, gdzie droga przecina tory i tworzy się krzyż. W środku tego krzyża stała budka z piwem, tuż przy budce motocykl, a właściciel nie było widać. Wszystko — sosny, peron z pasażerami, przewody elektryczne, sam ranek — wszystko to nagrywało się z niego, Sytowa za to, że spótnił się do pracy.

Podkradając się do budki miękłim

indyjskim krokiem pomyślał: a niech to wszystko grom spali! Przekraczam Ru-bi-kon!... Niech oni wszyscy patrzy na zegarki, niech się boja spóźnić do pracy, a ja, przodujący tokarz, chodzę wśród nich, jest dobrze, wesoło i jeśli zrobię mi teraz zdjęcie, to wyjde na nim godny wszelkiego szacunku i miłości. Szanujcie mnie! Wśród was żyje i chodzi Sytow z gitarą, przepelniony miłością i innymi uczuciami, on wszystkich was kocha, bo jest lepszy i silniejszy niż wy. Niech trwa to tylko jedna chwile, jeden ranek, ale niech trwa.

W tym czasie z budki wyszedł chudy, wasaty sprzedawca piwa, schwył motocykl za kierownicę jak za rogę i zaczął go powoli wtaczać do budki. Motocykl opierał się, krecił rogami — nie chciał iść, ale człowieka nie mógł pokonać.

Ale jakże to tak można brać cudzą rzecz w biały dzień, na oczach ludzi? Gdzież sa ci dwoje, co jechali objawczy się, pełni szczęścia? Sytow zaczął śpiesznie iść po peronie wpatrując się w twarz. Ale jakby socjalnie z jego powodu, wszyscy stali parami i te pary odwróciwszy się jedna od drugiej, plecami do szyn, cicho o czymś rozmawiali.

A jednak, pomyślał Sytow, nad tymi szczęśliwymi i mającymi wszystko w nosie ludźmi, czekającymi na pociąg, który będzie ich wioził, aby mogli nie spóźnić się gdzieś tam, nad nimi ciążyła siła w postaci zegara i ta siła wszystko im dyktuje: co można, a czego nie. I tylko on jeden, przodujący tokarz, pozwolił sobie spędzić noc na cudzych schodkach, by iść potem powolutku przez las, a teraz spacerować tutaj i wyobrażać sobie jak majster myśli, że on złamał nogę lub zachorował na anginę. Tylko on jeden krecać królewskimi rogami jak byk, którego do budki nie wciągniesz, chodził i rozmyślał o różnych różnościach, podczas gdy tamci byli zajęci patrzeniem na siebie.

A jednak to było przyjemne — patrzeć na miłość dokoła siebie, płynącą jak czas, bez skandalów i halasu, według najwyższych praw.

W tej chwili znów przypomniał sobie Marusię, która mówiła mu: — I po co ty co niedziela z gitarą na Kłażmie jeździsz? Może masz tam jaką?.. Zgubiłeś tam coś? Jeździ i jeździ, jak wariat... Inni w goście do siebie chodzą, do kina, do parku, o przyszłości marzą...

Wyobraził sobie, że siedzi kolo niej, przebiera palcami włosy na jej karku, słucha gderania i jakoś nie ma ochoty krzyknąć ze szczęścia na cały głos, czy też rozbić szklankę, lub rzucić coś na podłogę, żeby radosnym dźwiękiem szkła wyrazić swoje szczęście. Nie ma ochoty.

Gdy widział te, długonogie, w kolorowych sukienkach, i bransoletach, to czyż zadrościł tym, co kroczył obok nich? Zawsze wtedy stawała przed nim Marusia jako porównanie, ironiczna i surowa, dla której wszystko jest zrozumiałe i jemu było przyjemnie zasłonić się tą jej zrozumiałością od ulicznego chaosu.

Z Marusią jednakże nie poleciłaś na motocyklu w objeściach, krzyknąć z radości, nie rzucić motocykla pod budkę z piwem, nie zapomnieć o nim, by chociaż nie wiadomo gdzie razem z nią i nie widzieć ludzi...

Pociąg podmiejski wpadł raptownie na peron, jakby przedtem czaił się długo. I nagle, kiedy już usiadł, zauważył Sytow tych dwoje. Siedzieli przy oknie. On coś mówił. Ona słuchała i odrobinkę poruszała wargami. Uczesana była w pośpiechu, raczej nieuczesana wcale i jeden kosmyk przecinał jej twarz.

Wysokie czoło na chudziutkiej twarzy było odkryte i ona jakby niosła je gdzieś przed siebie, w dal, w nieznane. Rece jej leżały na kolanach, jak u mniszki. Słuchała. A ten, w kurcie, nie był już młody, jego ręka gineła gdzieś za jej plecami.

O czym oni mówili, trudno było odgadnąć.

Po co Sytow przesiedział całą noc na schodkach? Zeby ten, nie bardzo sympatyczny i nawet jakby trochę bezczelny typ poderwał ją na motocyklu, tak po prostu? Ech, Marusiu, ani jednej zdrowej komórki nie mam już w głowie! Gdyby chociaż gdzieś udało się zjeść śniadanie, przecież jedzie z dystem żoładkiem. Siedzi naprzeciw tej nieuczesanej... Jednak (o Boże mój kochany) od niej nie można oderwać oczu. A więc to tak! Ten w skórze jej coś gada, a ona z uwagą go słucha i jak widać on jej nachlebia.

„Marusiu! — zawołał Sytow w duchu. — Czyż ja chciałem czegoś innego?.. Opuścił głowę. Z boku miledza gitara.

Pociąg jechał, zatrzymywał się, jechał, zatrzymywał się.

Nagle, jakby na gitarze ktoś struny szarpał. Wszystko zmieszalo mu się przed oczami. Sytow złapał gitarę, ale ona miledza. A tam, w przodzie, czarna kurtka mignęła i potoczyła się od ławki do ławki obok wrzeszczących pasażerów, coraz dalej, dalej... Tak, jakby tamten z bezczelną gębą pelznął wzdłuż przejęcia na kolanach... W tym momencie Sytow zobaczył dwoje niebieskich oczu i chudziutką rękę wyciągniętą do przodu. Łokieć... Ramię... Krzyk...

Ktoś w kraciastej marynarce parł za pelznącym, ale tłum przeszkadzał. Wysoki chłopak w czapce włożył na ławkę jak cyrkowiec i tego w kurcie — noga... Tamten znów zaczął pelznąć, a ludzie rzucili się do okien, jak najdalej jak najdalej... A ona?

Stała przed kraciastą marynarką... „Co oni robią? — bysnelo w sennym mózgu Sytowa. — Tych dwóch bije tego w kurcie za jego nachalna gębę?... Draka!” — pojął nagle. Zaczął przedzierać się bliżej... Ten w skórze przewrócił się znów. (Dobrze mu tak!). Teraz było słychać jak krzyczy. Strasznie krzyczy. Sytow przedostał się jeszcze bliżej i zobaczył przed sobą krwawy krzyż na czole tego w skórze. Pełznął ze swoim krzyżem prosto na Sytowa i teraz już nie bezczelność była w jego oczach, zmrużonych i błonących jakimś złym ogniem, lecz smutek jak u zaszczętego zwierza kiedy na liłość nie ma co liczyć... „Ech, gitarę zapomniałem” — nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie Sytow.

— Siergiej!.. Sierozła!.. — to jej krzyk. — Wstań!.. Wstań!..

Chłopak w czapce ocierając wargi dogonił tego w kurcie, zamachnął się kluczem... „Zaraz wyrznie!” — pomyślał Sytow.

I nagle ona znów przeciągle krzyknęła:

— Siergiej, uważaj!.. — Krzyknęła tak, że Sytowa aż poderwało i rzuciło do przodu. Chłopak w czapce upadł pod jego pięścią na jakieś wrzeszczące dokoła figury, jego klucz jak wróbel poleciał w stronę okna, a Sytow dopadł kraciastego w marynarce, szarpał go na siebie: „Ucz się teraz, kochasiu!” I kraciasty zwalił się jak snop.

W tej chwili Sytow uchwycił jej spojrzenie. Patrzyła na tego w skórze, a nie na niego. „Nie pamięta, — pomyślał, — zapomniała!”

Teraz już stali obok siebie, on i ten w skórze. Zdażył już zetrzeć swój krzyż — i stał jak gdyby nigdy nic. A tamta dwójka poszła ku wyjściu.

— Nie można ich puszczać — powiedział ten w skórze, Siergiej zdaje się.

— Niech idą, — wypływają krew z gęby, — odrzekł Sytow.

W tym momencie chłopak w czapce odwrócił się i krzyknął: — Ty suko! My się jeszcze spotkamy!

Jak błyskawica rzucił się Sytow na ten krzyk, gdyż zdażył zobaczyć dwoje niebieskich oczu i zniekształconą rozpaczliwie jej twarz, a czapka plynęła ku wyjściu w ślad za kraciastą marynarką...

Tych dwóch wyskoczyło z pociągu jak z procy, zanim jeszcze pociąg stanął. Sytow tak napracował się pięściami na platformie, że aż brało go obrzydzenie. Napracował się. Teraz z siedem dni będzie miał mdłości... Jedna uciecha — nad gitarą się złtował. Leżała na ławce i głucho dzwoniła, przyjaciółka stara. Doprawdy — cytra!

A ta z niebieskimi oczyma już się uśmiechała i uśmiechając się przykladała do czoła tego w skórze chusteczki czy może co innego... Później spojrziała na Sytowa i kiwnęła głową, jakoś tak nieokreślenie. „Nie poznała — pomyślał — nie przypomniała sobie... A ten jej sympatyczny jest nawet... Oni go chyba z tyłu... Poniedziałek — ciężki dzień...”

Przesał się bliżej nich, nieśmiało, zmuszając się do tego.

— Dzielę, — powiedział ten w skórze i roześmiała się.

— Za co oni tak pana? — zapytał Sytow.

— To my ich, a nie oni nas, — odpowiedział śmiejąc się. — Za różne paskudne słowa, prawda?

Kiwnęła notakująco głową. Sytow siedział vis-a-vis niej. Obejrzała go, gitarę i odwróciła się do swojego w kurcie. „Nie poznała, — pomyślał, — nie przypomniała sobie...”

Chciał powiedzieć: „Zalaliśmy ich, co?” Ale nie powiedział. Chciał ją zapytać: „Do Moskwy jedziecie?” Ale nie zapytał. Oczywiście, była do Moskwy. Wszystko to jest jednym wielkim głupstwem, które się czasami w podróży przytrafia. Ale wobec tego po co się przesiadł bliżej? Dlaczego nie przeszedł do drugiego wagonu myśleć o tym, dokąd oni z Marusią pojedą w najbliższą sobotę?

Jeśli patrzeć trzeźwo, to też jest z tych długonogich. To nie, że nieuczesana... Mogłaby się chociaż odezwać, potem można byłoby przymknąć oczy, albo nie przymknąć ich, a patrzeć na nią bez zmieszania. Ale Sytow patrzył właśnie nie na nią, a na tego w skórze, który miał na imię Siergiej, na nią nie spoglądał, choć ona bez żadnego wstyd ugięła kuoburzeniu całego wagonu. Wagon milczy, bo mu wstyd... A dlaczego wstyd, nikt nie wie. Właściwie, czegoż się tu wstydzić? Mogłi przecież popracować pięściami! A teraz wstyd im siebie samych: jak co do czego, po katech się rozbiegli. Wstyd wagonowi i z ich powodu: po co oni siedzą objawczy się? „Fajnie ich załatwiłem, — myśli Sytow. — Sambo...”

— Fajnie ich pan załatwił! — odezwał się ten w skórze Siergiej. — Myślałem, — koniec ze mną. — Roześmiała się.

— Pleściami trzeba pracować, — rzekł Sytow przyjaźnie. („A co? Sympatyczny chłopiec”) — Oni z tyłu, czy jak? — Przez zaskoczenie?

— Oni panienkę zaczepiali, — odezwała się jakaś dama.

— Trzeba było miłkciem dać po mordzie, — rzekł Sytow nie patrząc na damę.

— Jemu nie wolno, — nieoczekiwanie powiedziała ona (z niebieskimi oczyma), dreszcz nia wstrząsnął i ona znów poglaskała tego swojego. — On ma na piersiach szklane drogocen-

ności... — Cichuteńko roześmiała się i jak przedtem przestała zwracać uwagę na Sytowa.

„Co ona mówi?” — pomyślał.

I wtedy ten Siergiej wyciągnął spod kurtki białe rękawice i różowe próbki, w których bływały pecherzyki i leżały jakieś nieznane pasikoniki ze złożonymi na piersiach łapkami i ze zgłębionymi kolankami. Były, oczywiście, nieżywe, ale właśnie w imię ich nieświadomej sławy on pelznął w przelocie wagonu z czerwonym krzyżem na czole.

Pokazywał swoje pasikoniki i oglądał je pod światło, a ona patrzyła tylko na niego i na nic więcej: ani na Sytowa, ani na damę, ani przez okno, gdzie sosny pól na pół z brzożami — widok przepiekny.

Gdy z kawałka stali rości się na świat oś lub, powiedzmy, kolo — to ma się prawo śpiewać i obnosić swa dumna głowę po całej fabryce, po mieście, wzdłuż brzegów Kłażmy. Ten właśnie pociąg i kolo, na których on biegnie i wszystko dokoła leżało kiedys pod rylem i śpiewało, i czarne strużyny dawało, a on, Sytow, przywarłszy do maszyn jak do kulombu, czyż myślał wtedy (wiedział, ale czy myślał?) o pasikonikach pływających w spirytusie, muchach lub karaluchach?

Siergiej poruszył próbki i pasikonik — czy coś tam innego — zgrabnie odwrócił się...

— Grillus, — nazwał Siergiej. — a ten tutaj, to pfeudoneuroptera, — pokazał na coś małego, — jakby bezgłowego, — a to — Stomoksis... Ona roześmiała się spoglądając na Sytowa.

„Nie przypomniała sobie, — pomyślał Sytow, — zapomniała...” Stomoksis — nazwisko tego pasikonika czy też muchy... Stomoksis... Jak za granicę hrabia... Wychodzi, że ona siedziała w domu, dawała Sytowowi mleko, a sama myślała o tym swoim Siergieju, podczas gdy on na swoim motocyklu uganiał się za różnymi stomoksisami i wspaniał w je próbować! A one leżały tam w tych swoich szklankach, w spirytusie i wymagały dla siebie szacunku i miłości (widział to kto?), jakby były jakimś krewniakami lub gośćmi... Ton, wssoki i niemodny już, podobny do lotnika polarnego, brał te stomoksisy ostrożnie, dwoma palcami, żeby nie poślizgnąć i przewrócić jej, pokazywał... Nauka? A u niego, u Sytowa nie nauka? Nauka. Wiesz o co chodzi? To ci chwila...

— O Boże — wyrzekła Marusia w jego duszy. — Paszka, zabierz ręce! Ludzie patrzają...

A wieczorami, gdzieś na laweczce, w parku albo na uciechliw bulwarze, mówiła mu do samego ucha:

— Paszka, Paszka, diable! — Wszystko to gorącym szepciem. Jak ptaszek trzepotała się w jego rekach i już nie nie mówiła innego tylko: — Paszka, Paszka, Paszka... Później szli po bulwarze bez celu, a na wprost nich szły inne pary, też bez celu. Jeśli rozpatrywać na trzeźwo, jakie to piękne: tak powinno być wśród ludzi. Dopóki tak właśnie jest z tobą, nikt cię nie ruszy, zleżo słowa nie powie — całuj się, spaceruj, jedź śniadanie...

Ale ci obejmują się w pociągu zajętym po gardio różnymi sprawami, kiedy wszyscy do pracy jada, pokazują stomoksisy i mają wszystkich w nosie... Może oni też prze-kroczyli? On na swym motocyklu pedzi do niej, a motocykl ma na pewno po to, żeby do niej pedzić, po kawalersku podjeżdżać pod sam ganek...

— Marusiu! — krzyknął w duchu. Pojedźmy na Kłażmę, objawczy się pochodzimy po trawie i o bożym świecie pamiętać nie będziemy! Znie jest krótkie, ja tak mało znam ciebie...

— Paszka, zwariowany — rzekła Marusia — co, już mnie nie kochasz? Zupełnie jak dziecko... — I szentem gorącym: — Daj rękę. Tutaj... No...? Głupi... — Jesteś moim ptaszkiem... Ale dlaczego nie starcza życia na uciechę...? — Do drzwi mnie nie odprowadzaj: mój zobaczają. Czego łapieć za sukienkę? Paszka...! Pjgniecie się!

W próbkach pasikoniki złożowyły łapki kołysza się. Ta na tego swojego patrzy, oderwać się nie może... To ci chryja! W starożytności mnie by za taki cios wywyższył, jak nie wiem co... Stomoksis... Wychodzi, że bumelant i to nie z pijaństwa, nie z głupoty, ale jestem. Dlaczego? A dlatego, że musiałem zobaczyć jak oni na swoje stomoksisy patrzy i na siebie — a co to wszystko znaczy? Zaraz będzie Moskwa, oni zaniosą te swoje stomoksisy nie wiadomo dokąd... Pożegnamy się. A ona nawet nie spojry na mnie, dlatego że oczy potrzebne sa jej po to, by widzieć jak ten jej idzie ze swoimi szklankami na piersiach.

Przekład:
WASYL KOCZNOW



Foto: E. Kudaf

TRZEBA ODDAĆ CZĄSTKĘ SIEBIE

Rozmowa z IGOREM SIKIRYCKIM

— Panie Igorze, w ostatnim okresie synął się na Pana deszcz wyróżnień krajowych i zagranicznych. Jest to niewątpliwie satysfakcja dla pisarza...

— Ale jest to zarazem balast, obciążenie psychiczne. Od laureata mamy prawo domagać się roboty bez skazy. Przyznam się panu, że po nagrodzie im Gorkiego stałem się jako tłumacz bardziej nieufny wobec samego siebie. Bo przecież nie ma tłumacza, który przekłada bezbłędnie. Na jednym ze zjazdów tłumaczy literatury polskiej przeprowadzono sroisty tekst. Zapytano tam uczestników, wywodzących się z czasami z polskich domów, jak rozumieją określenie „białe szaleństwo”. Na dziesięciu tylko dwóch odpowiedzieli poprawnie, wśród nich Japończyk. Podaje ten przykład, aby uprzytomnić, że w każdym języku są zwroty nastrożające tłumaczowi niemałe kłopoty.

Ale nagrody literackie mają też swoje dobre strony. Otrzymałem wiele propozycji od wydawnictw. Nie ze wszystkich mogłem skorzystać, bo tłumaczę głównie to, co jest mi bliskie.

— A które z tych wyróżnień ceni Pan sobie najbardziej?

— Wydaje mi się że ostatnie. Był to Medal Komisji Edukacji Narodowej. Otrzymałem go przed miesiącem podczas jubileuszu sześćdziesięciolecia „Piomyka”. Mam do tego czasopisma szczególny sentyment, gdyż debutowałem w nim utworami dla dzieci wraz z Ludwikiem Jerzym Kernem. I od tamtej pory pozostałem wierny tematce dziecięcej.

— Przyznam się, że chciałbym z Panem porozmawiać głównie o pracy translatorskiej.

Miniony rok, był jak wiem, bardzo pracowity dla Pana...

— I dobrze, że już się skończył. Nie wiem czy rok to okres czasu dostatecznie długi do robienia podsumowań, ale mogę spojrzeć na te dwanaście miesięcy z pewnego dystansu, w czym pomogły mi recenzje w czasopiśmie.

Jak się pan zapewne orientuje w minionym roku ogłoszonym wspólnie z Zbigniewem Załuskiem antologią polskiej i radzieckiej poezji i prozy związanej z sześćdziesiątą rocznicą

Revolucji Październikowej. Było to zadanie trudne przede wszystkim dlatego, że o tej rocznicy przypomniał sobie w ostatniej chwili...

— Trudno, aby poeta chodził z terminarzem...

— A no, właśnie. Zdaje się, że pisarze w ogóle nie mają poczucia czasu. Dopiero w styczniu ubiegłego roku ZLP i Związek Pisarzy ZSRR podpisały umowę przewidującą wydanie antologii literackiej poświęconej rocznicy Października. Książka ta miała się ukazać jednocześnie w obu krajach: myślny zdaliśmy na termin, koledzy radziecy spóźnili się i u nich antologia widać z druku dopiero za miesiąc. Ale mają nad nami przewagę nakładu. My wydaliśmy 10 tys. egzemplarzy, oni przewidują nakład dziesięciokrotnie większy.

„Na czerwonych kwiatach Października” rodzila się praktycznie w ciągu czterech miesięcy, to chyba mówi o intensywności pracy redaktorskiej. I po raz pierwszy zaprezentowała w Polsce poezję i prozę poświęconą Rewolucji Październikowej w tak obszernym wyborze. W antologii tej, przeważa oczywiście poezja, bo wypowiedź poetyczna z reguły jest bardziej skondensowana i nośna, a więc z natury rzeczy bardziej pasuje do takiego wyboru. A chociaż ta książka jest tak obszerna trzeba było dokonywać bezlitosnej selekcji utworów wybierając rzeczy najbardziej reprezentatywne i trwałe. Już sam charakter tej pracy rodził potrzebę konsultowania się z radziecką redakcją antologii, na której czule stał wypróbowany przyjaciel Polski Wiktor Borysow. Proszę pamiętać, że w Związku Radzieckim ukazała się ostatnio, licząca cztery tomy antologia radzieckiej poezji poświęconej Październikowi. Było więc z czego wybierać, jeśli się zważy, że i w poezji polskiej funkcjonuje wiele utworów o rewolucji. A chociaż praca ta wymagała wiele trudu wspominał ją z sentymentem. Jest ona zresztą owocem wysiłku całego sztabu ludzi dobrej woli, nie tylko redaktorów. Byłem nie tylko redaktorem tej książki, byłem także jednym z autorów, bo znalazły się w niej moje oryginalne wiersze. I oczywiście byłem jednym z tłumaczy. Cieszy mnie więc, że antologia, do której tytuł wzięliśmy z poematu Majakowskiego „Lenin”, została tak wysoko oceniona przez krytykę w Polsce i przez radzieckich przyjaciół.

— A czy w tłumaczu nie rodzi się bunt, że to, co robi jako translator, odbywa się kosztem innych wartości? Że trzeba często rezygnować z własnej twórczości oryginalnej?

— Myślę, że i pan zna to uczucie. Jeśli spojrzeć na miniony rok od strony własnych dokonań, to się okaże, że był on uboższy niż inne. I tak dzieje się zawsze, ilekroć tłumacz zabierze się do poważnej pracy przekładowej.

Kilkakrotnie w swoim życiu porywałem się na wielkie prace przekładowe. Mam tu na myśli tłumaczenie eposu gruzińskiego „Witezia w tygrysiej skórze” Szoty Rustawellego, czy też anonimowego arcydzieła armeńskiego „Dawid z Sasunu”. Nad pierwszym pracowałem cztery lata, drugi przekład zajął mi ponad cztery. Każdorazowo, po skończeniu tej pracy, tu, w tym domu przy ul. Mickiewicza, pod łódkim niebem składałem sobie solennie przyrzeczenie, że już nigdy więcej...

— I oczywiście lamał Pan słowo...

— Powtarzałem sobie, że co najwyżej przełożę jakiś mały wiersz ulubionego poety Nestety, po pewnym czasie, to jest widocznie nieuleczalna choroba, zabierałem się do nowej pracy. Tuwim mawiał, że jest to nie do uniknięcia, jeśli już zasmakowało się w pracy przekładowej. Bo w każdej takiej pracy zostawiamy jakąś cząstkę swojej osobowości. Przekładu poetycznego nie może dokonać elektroniczna maszyna, choć teoretycznie jest to wykonalne. Maszyna nie ma indywidualności. A w robocie

poetyckiej liczy się niepowtarzalność.

Zresztą praca translatorska obfituje w ciekawe przygody twórcze. Weźmy choćby pod uwagę przekłady utworów, dawno już przez kogoś przełożonych, funkcjonujących w krwioobiegu kulturalnym, które tłumaczy się na nowo, na nowo je odczytuje. Trzeba mieć wiele odwagi, żeby podjąć się takiego zadania.

— Tłumaczenie utworów nieznanymi także chyba wymaga odwagi...

— To zupełnie zrozumiałe, ale powtarzę tłumaczenie rzeczy już przełożonych wymaga chyba jeszcze większej. Gdy tłumaczyłem „Witezia” wiedziałem, że Tuwim przełożył licząc czterech stron wstęp do tego eposu. I czy pan uwierzy, że nie miałem odwagi przełożyć tego wstępu? Dopiero teraz, gdy po siedemnastu latach tłumaczyłem „Witezia” po raz drugi z oryginału gruzińskiego odważyłem się przełożyć także wstęp.

— Czym więc jest praca translatorska?

— Mój przyjaciel Jan Brzechwa powtarzał żartobliwie, „Każda praca się opłaca”, do czego ja dorobiłem zakończenie, „Oprócz tej, co życie skraca”. A praca translatorska jeśli nie skraca życia, to w każdym razie skraca naszą twórczość oryginalną. Tłumacz oddaje cząstkę samego siebie na rzecz innego autora, który napisał oryginał. Wczoraj tłumaczyłem gruziński wiersz, w którym była obserwacja, „Mewa trzepocząca skrzydłami na wieź”. Przełożyłem to jako „Mewa skrzydłami w wiatr wpisana”. Niby podobnie, a przecież inaczej, jakby pełniej. Przypominają mi się od razu rozmowy Czechowicza z Piętańskim, którzy lubili żartować z młodszymi poetami. „Sprzedam ci metaforę za dwa pięćdziesiąt”. Niekiedy przecież jedna metafora wyzwała całą poetycką lawinę skojarzeń. Kiedyś widząc szybę przestreloną przez pocisk karabinowy dokonałem obserwacji patrząc na „pajęczynkę” na spekanym szkłem: „Kula na szybko siada jak pajak”. A kilkanaście lat później napisałem wiersz o Warszawie wykorzystując tę samą obserwację. Metafora jest przecież często kluczem do przeżycia poetycznego, bo ona z niego wyrasta.

— A więc „coś za coś”? Mam na myśli osobisty wkład tłumacza w przekładany utwór, często kosztem własnej twórczości...

— W przekładzie zostawiamy cząstkę osobowości. Ale to, co robimy z utworem, musi pozostawać w zgodzie z intencjami autora oryginalnego.

— Dla ciekawości... A ile pan napisał w ubiegłym roku utworów oryginalnych?

— Napisałem trzy wiersze, a opublikowałem dwa. I to jest miara spraw, o których mówiłem. Oczywiście nie cały miniony rok zużytkowałem na opracowanie antologii „Na czerwonych kwiatach Października”. Wiele trudu włożyłem w pracę nad antologią współczesnej poezji gruzińskiej, której jestem redaktorem i autorem wyboru. No i oczywiście jednym z tłumaczy, bo pomaga mi trzydziestu tłumaczy, wśród nich Jarosław Iwaszkiewicz, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Józef Ozga-Michalski. Jak zawsze zaprosiłem do współpracy także łódzkich kolegów. Dzięki wspólnemu wysiłkowi prace nad tą książką są już

bardzo zaawansowane. W ubiegłym roku w miesięczniku „Literatura Radziecka” opublikowałem dwadzieścia cztery przekłady gruzińskich wierszy, które wejdą do tej antologii. Ze strony gruzińskiej pomaga mi znakomity poeta Micha Kwlidze. Jak teraz widzę w ubiegłym roku przełożyłem około stu wierszy, głównie z rosyjskiego i gruzińskiego.

— Ale przecież w ubiegłym roku ukazało się parę nowych książek?

— Niezupełnie nowych. Wydałem wybór wierszy, a więc utwory napisane wcześniej. Miałem także kilka wznowień małych bajek, takich jak „Najlepszy samochód” i „Orzeszek”. Wreszcie Studio Miniatur Filmowych w Bielsku-Białej zrealizowało animowany film na podstawie mojej „Awantury w Przechwałkowie”. Wierzę, że rok zamknął się w sumie bardzo skromnie. Ale zaczęły kiełkować już pewne pomysły na przyszłość...

— Ma Pan na myśli tak poważnie zaawansowane prace nad antologią współczesnej poezji gruzińskiej?

— Nie tylko. Pracuję nad antologią będącą kontynuacją edycji „Jak unieść wiersz Twoja chwaleb”, która pokazywała Polskę w poezji Związku Radzieckiego. Jak się okazuje istnieje w naszej literaturze wiele utworów świadczących o ogromnym zainteresowaniu poetów polskich Związkiem Radzieckim. Chce pokazać, jak żywe i głębokie były te zainteresowania i to od pierwszej chwili powstania państwa radzieckiego. W antologii zamieszczę utwory ponad stu poetów, aż po najmłodszych i korzystając z okazji zapraszam pana do współpracy podobnie jak innych poetów łódzkich. Strona radziecka, w osobie sekretarza generalnego Związku Pisarzy Georgija Markowa wyznała duże zainteresowanie tą książką. Zamierza wydać ją i to w wersji dwujęzycznej: polski oryginał i rosyjski przekład.

I żeby już zupełnie wyczerpać temat antologii przyznam się, że zamierzam także prace przewidzianą na cztery lata. Chce opracować dla „Naszej Księgarni” antologię bajki poetycznej wszystkich republik Związku Radzieckiego. Projekt został przyjęty. Noszę się z zamiarem zilustrowania tego wyboru rycinami narodowymi.

— A co z Pańską twórczością oryginalną?

— Nie opuszcza mnie, na szczęście, marzenie twórcze, zaczęte jednak od przekładów. W bieżącym roku ukaże się wybór moich tłumaczeń zawierający utwory poetów, których najbardziej lubię. Nazwałem tę książkę niezbyt odkrywczo „Wiersze sercu bliskie”, ale mam nadzieję, że staną się one bliskie także czytelnikowi. Ukażą się w Wydawnictwie Łódzkim, z którym jestem bardzo blisko związany. W „Naszej Księgarni” ukaże się po siedemnastu latach wznowienie „Witezia w tygrysiej skórze”, który w roku 1961 otrzymał nagrodę za najpiękniej wydaną książkę. Ilustrowany był miniaturami gruzińskimi, które niestety uległy zniszczeniu. Na szczęście udało się odtworzyć klisze, toteż i to nowe wydanie otrzyma również staranną szatę graficzną. W KAW ukaże się bardzo piękna bajka armeńska Owanesa Tumaniana „Kropka miodu”, którą ostatnio przełożyłem. A z rzeczy oryginalnych sygnalizuję nową

książkę dla młodzieży „Ogródek fraszek szkolnych”. Będzie to książka zawierająca sto utworów o tematyce uczniowskiej z rysunkami Szymona Kobylńskiego. Część z tych drobniaków drukowałem w „Trybunie Ludu”. Mam także kolejną przygodę filmową. Reżyser Wadim Berestowski realizuje w „Semaforze” lalkowy film według mego scenariusza pt. „Lesny koncert”.

— Panie Igorze, już dawno chciałem Panu zadać to pytanie, jak Pan, jako autor wyborów i redaktor licznych antologii przekładowych ocenia łódzkie środowisko translatorskie?

— Doskonale się pan przecież orientuje, jak odpowiedzialna jest praca tłumacza i ile wymaga osobistego zaangażowania, choć nie przez wszystkich jest ceniona. To praca wymagająca osobistej pasji i wiecznego niepokoiu twórczego. Bo tworzywo, w którym pracuje tłumacz jest ogromnie delikatne. Niektórzy twierdzą, że jak wiersz jest dobry, to go nie zepsuje nawet kiepskie tłumaczenie, ale to oczywiście nieprawda. Na chropawym materiale można nie dostrzec rysy, ale na marmurze czy alabastrze dostrzeże się ją od razu.

Nie czuję się powołany do oceny łódzkiego środowiska translatorskiego. Mogę tylko powiedzieć, że cenię je bardzo wysoko i cieszę się, że nieustannie się rozszerza, co jest w dużej mierze zasługą Wydawnictwa Łódzkiego, które mocno postawiło na przekłady i nawet zaczęło się specjalizować w antologiach. Przed laty zajmowali się w Łodzi tłumaczeniami: Piechał, Huszcza, Koprowski, Kononowicz, Chrościelewski, Wawrzkiwicz, dziś z przyjemnością widzę nowe nazwiska młodszych kolegów. Łącznie stanowimy grupę translatorów, bez której nie mogą się już obyć inne wydawnictwa w Polsce. Oczywiście nie znaczy to, że jest całkiem dobrze, bo te nowe nazwiska przybawają powoli. A gdzie są najmłodszy? Czy odstrasza ich bariera językowa?

— Ale pytanie pana rozumie szerzej, rozumiem, że pan pyta o perspektywy rozwojowe łódzkiego środowiska pisarskiego. I tu powiem panu od razu, że niepokoi mnie brak czasopisma par excellence literackiego, takiego choćby jak zlikwidowana przed laty „Osnowa”. Nie mogę oceniać moich kolegów po piórze, bo ich książki mówią same za siebie, ale mam prawo oceniać możliwości, jakie ma to środowisko. I nie odkryje Ameryki, gdy stwierdzi, że koledzy w innych oddziałach ZLP, nie tylko zresztą w Warszawie, są w lepszej sytuacji.

A przecież to środowisko rozwija się, rozszerza swoje kontakty. Bardzo istotny wydaje mi się flirt z naukowcami, jak choćby cenna dla nas współpraca z profesorem Bazylim Białokozłowiczem czy Bohdanem Baranowskim, którzy napisali znakomite wstępy do antologii wydanych przez Wydawnictwo Łódzkie. Chodzi o to, aby te flirty przerodziły się w trwałe mariaże.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREIDLICH



Foto: Archiwum

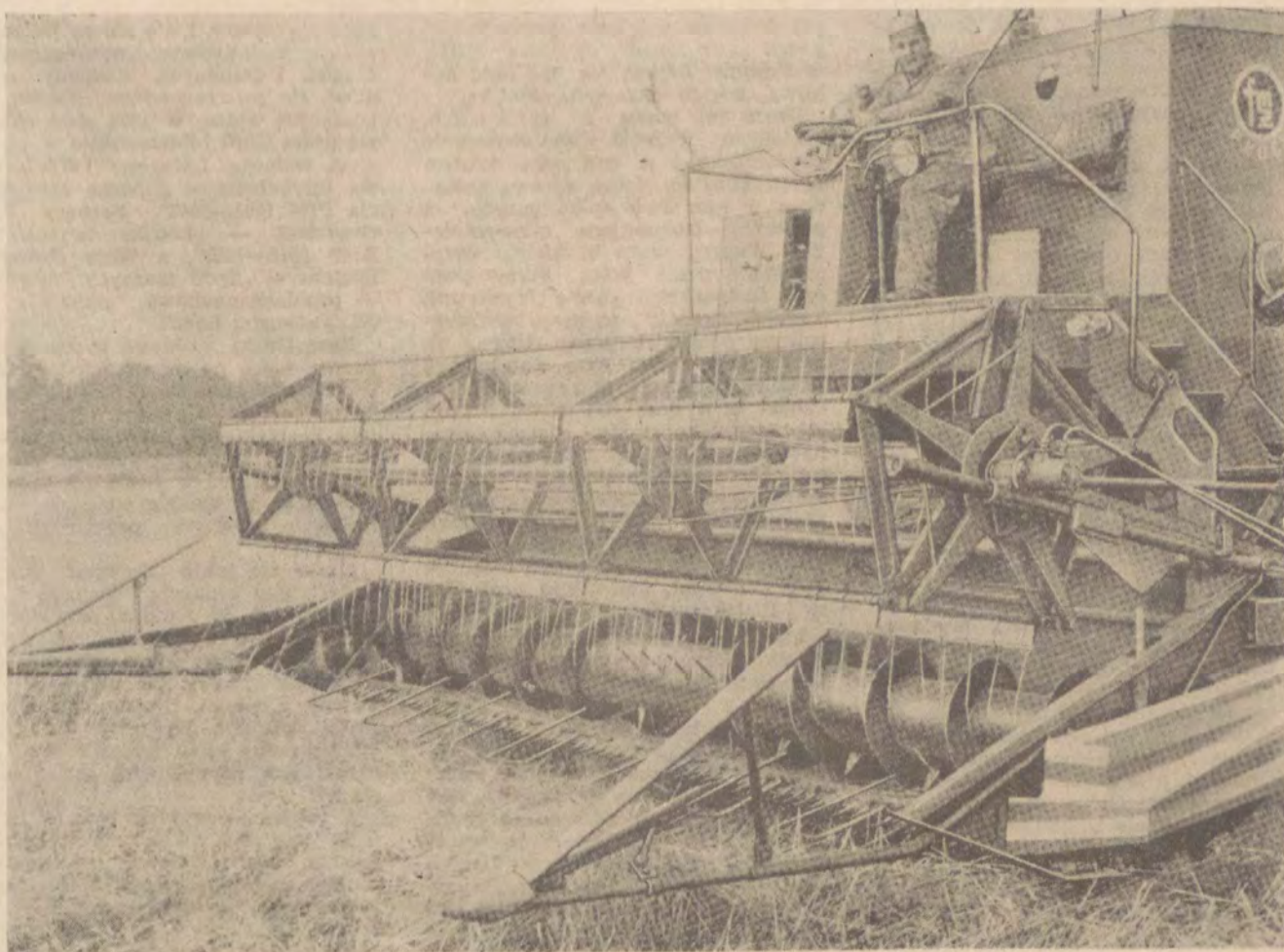


Foto: Archiwum

TOMASZ SOLDENHOFF

SYLWESTER W RODZINIE „BIZONÓW”

Jeżeli roczną wartość produkcji przemysłu w przeliczeniu na jednego mieszkańca stawia Płock — któremu daleko jeszcze do czołówek najludniejszych miast, a nawet do bariery stu tysięcy — na drugim miejscu w Polsce, to — chyłąc czoła przed niepodważalnym prymatem Petrochemii — po jej prawicy zasiąść powinna załoga Płockiej Fabryki Maszyn Żniwnych.

Masywna sylwetka „Bizona” zrosła się z polskim pejzażem prawie tak mocno jak... kosa. Ale kosa panuje w nim od paru stuleci, gdy tymczasem „Bizon” wtargnął na polskie pola przed siedmiu zaledwie laty. Wtargnął i — pozostał.

Co prawda wciąż przekonujemy się o pożytkach z kosi. Szczególnie, gdy ostatnio — rok za rokiem — pogoda nie skąpi rolnikom trudnych żniw. Na razie więc kombajn i kosa — związane braterskim sojuszem — świetnie się uzupełniają: od „Bizonów” zależą losy całej kampanii żniwnej, ale tylko kosa, ta starszaka kosa, ruszysz, bracie, zboże wyległe, zwichrowane — od wiatrów i deszczów.

O PIERWSZEJ MASZYNIE ŻNIWNEJ

dowiadujemy się od Pliniusza Staro-go (I w.n.e.) Opisał on dwukółowy, ciągnięty przez zwierzęta wózek, z umocowanym z przodu grzebieniem, którego zadaniem było odrywanie kłosów od źdźbeł.

Przez następnych kilkanaście wieków jednak — technika stoi w miejscu. Do sprzętu zbóż używa się modernizowanego siewa (ale jak długo można unowocześniać siew?), później — kosi.

Nowoczesny kombajn połączył w sobie prace żniwiarki i młocarni. Młocarnia od dwustu lat, tj. od chwili gdy wymyślił ją pewien Szkot, działa właściwie na tej samej zasadzie. Natomiast historia żniwiarki to dzieje „cudownej syntezy” kilku wymyślonych wcześniej — w odstępach kilkudziesięciu lat — części. W 1800 roku zbudowano przyrząd tnący, do którego dwadzieścia parę lat później przedsięwzięli Amerykanin P. Bell dodał motowidło uchylające zboże i w ten sposób powstała pierwsza, prosta żniwiarka.

A kiedy w 1858 r. wynaleziono mechaniczne grabie, ktoś nie mniej od Bella pomysłu zmienił w motowidłem. Obracając się oddzieliło ono porcję łanu zboża i równocześnie wygarniało siewkę już zboże z pomostu na ścierńisko.

W tym samym, historycznym dla maszyn żniwnych roku 1858, powstała odmiana żniwiarki — snopowiazalka. Jej narodziny obrazuje lalkom (wybaczyć specjalistom!) kolejne

proste równanie: aparat do wiązania snopków zboża sznurem (autorstwa Amerykanina Eppleja) plus żniwiarka.

W końcu do przyrządu tnącego, motowidła, grabi i snopowiazalki dodano — istniejącą już — młocarnię, tak, w znacznym uproszczeniu, doszliśmy do kombajnu. Zrazu poruszanego przez konie (lata siedemdziesiąte XIX w.), potem także przez konie, ale mechaniczne.

STO SZEŚĆ LAT MIŃEŁO

od momentu, gdy w Płocku (i w Polsce) zaczęto na szeroką skalę produkować narzędzia i maszyny rolnicze. W latach 1870—1945 trzy niewielkie zakłady, zatrudniające około 600 robotników, produkowały kieraty, plugi, po rozbudowie zaś młocarnie, wialnie, grabie konne, kostarki, śrutowniki...

W tych samych zakładach w których Niemcy podczas okupacji wytwarzali broń, w październiku 1945 roku, już pod zarządem polskim i państwowym, i nazwą „Płockie Zakłady Przemysłowe” oddano pomnik wdzięczności radzieckim żołnierzom. Z początku produkcja nie różniła się od przedwojennej, ale w końcu lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych zakłady zmieniły profil i — raz jeszcze — nazwę. Jeszcze w 1948 roku Fabrykę Maszyn Żniwnych (później dodano patrona: Marcelego Nowotkę) opuściła pierwsza seria polskich żniwiarek (i od razu wzięła udział w żniwach). W latach 1962—1971 wyprodukowano 19 tys. tych maszyn. Do dziś widuje się je na polach, choć może już częściowo upchnięte po kątach rozmaitych SKR-ów, gdzie zakurzone i smutne, często jeszcze osypane żytkiem, „Vistule” dożywają swego żywota.

„Bizon” jest dużo bardziej doskonały i... ma więcej szczęścia. To on stanowi główną ofertę „Agrometu”,

to on ugania się po polach Brazylii i USA, Hiszpanii i Iranu, Wielkiej Brytanii i Skandynawii, to dla niego rozbudowuje się zakład. Konstruktorzy z Biura Badawczo-Rozwojowego wciąż ulepszają go, wymyślają mu nowe „adaptacje”, nie tylko do czterech podstawowych zbóż, ale i do słonecznika, maku, kukurydzy, trawy, koniczyny, ryżu, a nawet sorgo!

JAK MIŃAŁ ROK?

— chcieliśmy spytać naczelnego dyrektora Płockiej Fabryki Maszyn Żniwnych, zjawiając się w niej w sylwestrowe przedpołudnie, w sobotę 31 grudnia 1977. Ostatni robotnicy wychodzili właśnie przez fabryczną bramę, wsiadali do autokarów. W zakładowej stołówce liczono talerze i zawieszano dekoracje na powitanie Nowego Roku. Na sylwestrowym spotkaniu z władzami miasta i dyrekcją, zostali ci najlepsi, aby wspólnym toastem zakończyć rok wspólnej pracy. Tam właśnie umknął naczelnemu dyrektorowi.

Na moje pytanie odpowiedział jego zastępca do spraw handlowych — mgr ALEKSANDER JÓZEFIK:

— Plan roczny wykonaliśmy już 21 grudnia. Teraz, choć może nie wypada mówić, zbieramy pochwały i... pracujemy na konto roku 1978. Zrealizowaliśmy wszystkie stawiane przed nami zadania. Uruchomiliśmy serijną produkcję kombajnu „Bizon-Gigant” (prototyp: 1973 r.), dając na razie 70 sztuk. Za uruchomienie i wyprodukowanie 500 egzemplarzy kombajnu zbożowo-kukurydzianego, dzięki czemu Polska mogła zaoszczędzić 10 mln. zł dewizowych, fabryka otrzymała list gratulacyjny od I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka. Dzięki zwiększonemu wysiłkowi fabryki jeszcze przed żniwami dostarczyliśmy krajowi dodatkowo 120 kombajnów. Latwo obliczyć co to znaczy. Kombajn dziennie zbiera zboże z ok. 10 hektarów. 1200 ha pół skoszonej więc w ciągu dnia, to chyba sporo. Zrealizowaliśmy również wszystkie krajowe zamówienia na części zamiennie. Z sympatii dla rolnictwa podjęliśmy szereg innych akcji, takich choćby jak pomoc dla rolników na terenach objętych powodzią. Prowadziliśmy intensywną działalność eksportową, odpowiadając na wszystkie zamówienia, także na zamówienia części zamiennych (ok. 20 tys. pozycji).

A ROK 1978?

Bedzie trudny, chyba dla fabryki trudniejszy nawet niż ten, który minął. Kurczą się limity inwestycyjne, a podwyższa poprzeczkę. Z poruszonej w ubiegłym roku taśmy powinno zejść dwieście „Bizonów-Gigantów”. Udane próby z kombajnami do zbioru

ru kukurydzy i słonecznika zobowiązują do dalszych poszukiwań. Bez względu na nakłady fabryka chce utrzymać priorytet dla produkcji eksportowej i wysokie miejsce w światowej czołówce. Ale to jeszcze nie wszystko.

Niemniej ważne jest krajowe, branżowe współzawodnictwo, w którym rok temu płocczanie byli drudzy, a w 1977 roku — pierwsi. Jeszcze przed ostatecznym podsumowaniem współzawodnictwa o tej wysokiej jakości powiedziały wskaźniki, wyliczone przez dwa zestawy komputerów. W najbliższym czasie informatyka opanuje zresztą wszystkie niemal czynności w zarządzaniu i organizacji produkcji, być może także w 1978 roku wkroczy na zakład telewizja przemysłowa.

Usprawnienia obejmą również transport. Wprowadzając do konstrukcji kombajnów tzw. elementy transportochłonne, fabryka oddaży Polskie Koleje Państwowe o aż 4 tys. wagonów. Kombajny wysłane będą do odbiorców na własnym przede wszystkim chodzie i systemem pierścieniowym. W przyszłości także transportem rzeczonym.

Nie powiedziałem jednak jeszcze o sprawach najbliższych. Głos ma dyr. A. JÓZEFIK:

— Główne nasze działania będą szły w kierunku dalszej rezygnacji z importu niektórych elementów na rzecz zakupu licencji. Przede wszystkim zaś naszą wspólną troską jest poprawa jakości kombajnów, zarówno przez dopracowania technologiczne i organizacyjne w naszym zakładzie, jak i przez zaostreżenie wymagań od kooperantów.

ZANIM STANIE NOWA HALA

— budowna na tyłach fabryki przy ul. Otolńskiego za trzy i pół milarda złotych (cyfra na pozór tylko „astronomiczna”, jak się dalej okaże), z inż. Waldemarem Jędrzejakiem — zastępcą kierownika Wydziału Ogólnotechnicznego, zwiędziam istniejące już hale. Nie dostałbym się tu chyba sam, bo na wielu wrotach ciężkie kłódki. W środku cisza absolutna, maszyny stoją. Wiadomo: Sylwester. Nie dziwi się, że inżynier z początku patrzy na mnie jak na natręta. Południe już minęło i przebiewszy się przez tłum wychodzących z fabryki, jesteśmy jedynymi, których o tej niezwykłej porze nosi po opustoszałych halach. Na Wydziale Obróbki Wirowej inż. Jędrzejak mówi:

— Budowa tej hali rozpoczęła się w 1953 roku, a już w rok później wyjechały z niej pierwsze, polskie kombajny. Czterdziestu samobieżnych kombajnów zbożowych ZMS-4, zbudowanych dzięki radzieckiej dokumentacji...

Wznoszona obecnie hala — o niebagatelnej powierzchni ok. 90 tys. m kwadratowych — będzie trzecią pod względem wielkości halą fabryczną w Polsce! W 1980 roku znajdzie w niej miejsce cały Wydział Produkcji Kombajnów.

Do hali tej przez jedne drzwi wprowadzać się będzie część, drugimi zaś wyjeżdżać będą nowiutki „Bizony”, około 8 tys. sztuk rocznie, czyli o jakieś 4,5 tysięcy więcej niż w 1974 roku. Na razie nowy kombajn zjeżdża z taśmy montażowej co 50 minut (dziennie 16—18). Kto chce, niech liczy, o ile zwiększą się te wielkości za dwa lata, gdy gotowa będzie nowa hala...

Rychło więc zapewne zwróci się owa „astronomiczna” suma i kalkulacje ekonomistów staną się faktem. A przewidują oni, że stopień zmechanizowanej zbiórki zboża w Polsce już na początku lat osiemdziesiątych wzrośnie do siedemdziesięciu, osiemdziesięciu procent. „Za parę lat kombajny wyprą ręczną i półzmechanizowaną zbiórki, i my się pod to rozbudowujemy” — takie jest w Płockiej FMZ przekonanie. Dzięki tej nowej, wielkiej hali zmniejszy się również tysiącna armia kooperantów, fabryka przejmie między innymi produkcję kompletnego przyrządu tnącego.

PREZENTACJA RODZINY

dokonała się w przyfabrycznym muzeum. W jaki sposób mierzy się wydajność każdego z członków tej „Potężnej Gormadki”? Ano tak zwana „przepustowość masy”. Jest to ilość zboża, jaką w ciągu jednostki czasu „Bizon” ścina, młóci i oczyszcza. Mówiąc słowami inż. Jędrzejaka: „to, co nóż zetnie, a beben wymłóci” — mierzone w kilogramach na sekundę.

Sens pracy konstruktorów polega zaś na tym, aby maksymalnie zwiększyć ilość kilogramów masy zbieranej w ciągu sekundy, nie zmieniając, a może nawet zmniejszając ciężar kombajnu. I aby — w rezultacie — mniejszą ilością kombajnów móc zbierać większy areal zbóż. Cel, przyznacie, dość nieskomplikowany. Ale jak się owa „przepustowość masy” wyraża w konkretnych liczbach?

Pierwszy chronologicznie członek rodziny — „Bizon” (1969 r.) miał wydajność 3 kg masy na sekundę. „Bizon Super” (1970 r.), który w 1974 roku zdobył tytuł „Juniora Eksportu” — 5 do 5,5 kg/sek. U „Mini Giganta” przepustowość masy była, zwłaszcza

w sprzyjających warunkach, nieco większa: 5,6 do 6,5 kg/sek. Ale prawdziwy skok dokonał się dopiero przy „Bizonie-Gigancie”. Ten potężny mistrz (przypomnę: „Mistrz Techniki” 1973, Złoty Medalista XVI Międzynarodowych Targów Przemysłu Maszynowego w Brnie w 1974 roku i Złoty Medalista Międzynarodowych Targów w Budapeszcie w 1976 roku), posiada wydajność od 8 do 12 kg masy na sekundę. W ciągu godziny „Gigant” zbiera zboże z 3,5 hektara. Mocą silnika przewyższa „Bizona” o prawie 100 KM a szerokością ciężca o ponad półtora metra.

Ale podwyższanie jakości kombajnów nie jest tylko sprawą inżynierów konstruktorów i technologów. Nie wszystko zależy od ulepszeń konstrukcyjnych i materiałowych. Ani też nie tylko od zagranicznych licencji czy maszyn, od solidności kooperantów i coraz lepszych warunków pracy...

LWIA CZĘŚĆ ZAŁOGI

— to dobrzy fachowcy, solidni pracownicy, którzy przestrzegają dyscypliny pracy, zobowiązania wykonują w stu procentach, nie rzucają słów na wiatr — taka jest opinia dyrektora Płockiej Fabryki Maszyn Żniwnych. Przesłuchiwałem się wypowiedziom najlepszych z najlepszych, tych którzy tworzą aktyw fabryki i reprezentację prawie 3200 pracowników fabryki. Jeden z nich powiedział:

— Mamy sporo sukcesów, ale nie wolno nam zapomnieć o tym, czego oczekuje od nas ojczyzna...

Nikt tutaj nie chce w 1978 roku zrezygnować z tego, co większość załogi postawiła sobie za punkt honoru: z ciągłego polepszania organizacji pracy i jakości produkowanych maszyn. Także z ciągłego zwiększania ich ilości.

Zsynchronizowanie wymagań konstrukcyjnych z wykonawstwem — to cel wysiłków zakładowej organizacji partyjnej. Liczy ona obecnie około 100 członków, co stanowi 21 procent załogi, jest wśród nich ponad 400 robotników, prawie 300 pracowników umysłowych i ok. 120 członków ZSMP.

Załoga sprawdziła się w trudnych chwilach...

— W końcu lat sześćdziesiątych — wspomina jeden ze starszych pracowników fabryki — po serii nieudanych eksperymentów (m. in. z kombajnami typu „Rekin”, które nie weszły do produkcji) pojawiły się propozycje zaprzestania dalszych poszukiwań i ograniczenia się do importu kombajnów. Wówczas załoga nasza sprzeciwiła się tym propozycjom. Pamiętam posiedzenie Egzekutywu KW PZPR z udziałem ministrów M. Jagielskiego i J. Hrynkiwicza we wrześniu 1969 roku. Wnioski z tej narady były ambitne, optymistyczne. Nie minął rok 1969, a powstał przy FMZ Ośrodek Badawczo-Rozwojowy, zaś z taśmy zesłała pierwsza partia „Bizonów”.

Dojrzałość polityczną, gospodarności i obywatelską postawę pracowników FMZ prezentują nie tylko przy własnych maszynach. W okresie budowy Płockiej Petrochemii (a zwłaszcza w jej początkach) wielu techników, inżynierów i robotników wzięło udział w montowaniu rurociągu „Przyjaźń” i pracowali w Zakładach Rafineryjnych.

Fabryka ma w województwie i w kraju wysoki autorytet. Wiedzą o tym pracownicy, także najmłodsi, którzy przyjeżdżają tu z całego kraju albo uczą się w przyzakładowym zespole szkół zawodowych. Od lat fabryka współpracuje z Wydziałem Mechanicznym Płockiej Filii Politechniki Warszawskiej. W najbliższym czasie zostanie otwarty ośrodek szkoleniowy dla kombajnistów.

Płock na tle dynamiki rozwoju ludnościowego innych ośrodków w Polsce przedstawia się dość skromnie. Jego przemysł, w tym także Fabryka Maszyn Żniwnych, zaczyna więc odczuwać brak kadry. Miasto zbliża się dopiero do osiemdziesięciu tysięcy mieszkańców i, jak się powiedziało na wstępie, daleko mu do opuszczenia trzeciej dziesiątki. Kłopoty mogą więc rosnąć.

W 1978 roku trwać będą prace nad wzniesieniem nowej hali fabrycznej, ale równocześnie zakład rozpocznie (są środki, jest ochota, brak tylko „limitu przerobowego”) dawno planowaną budowę nowoczesnego domu wczasowego w Kolobrzegu. Planuje się także rozbudowę ośrodków wypoczynkowych w Soczewce k. Płocka, Biskupeczku, Rowach i w Giżycku.

W ramach „kontrolli osiągnięć pionu socjalnego” zjadłem w Sylwestra obiad w stołówce zakładowej. Oddana do użytku dokładnie przed trzema laty stołówka ta sprawnia sympatycznie wrażenie czystością, zielenią i jakością jadła.

Dyrektor ALEKSANDER JÓZEFIK (15 lat na dyrektorskich stanowiskach, 2,5 roku w FMZ) zapytany o „tajemnicę zawodowego sukcesu” swojej fabryki, uśmiechnął się i odpowiedział jednym zdaniem:

— Nasza „tajemnica” jest po prostu wiara w to, że ludźmi, wszystkich ludzi pracujących w tej fabryce, stać na coraz więcej, fabrykę zaś na zaspokojenie wszelkich żądań wynikających z potrzeby dalszej mechanizacji zbioru zbóż.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

LEPIEJ DUŻO I DOBRZE

Ubiegły rok zamknęło Wydawnictwo Łódzkie liczbą 48 tytułów, 490 arkuszy wydawniczych i 900 milionami egzemplarzy. Skromny to dorobek, choć nie brak w nim pozycji wyróżniających się, że wymienię dla przykładu znakomicie wydaną i nagrodzoną antologię poezji radzieckiej poświęconej Polsce „Jak unieść wierszem twoją chwałę”. Nie bez znaczenia jest także fakt, że nasza łódzka oficyna zdołała dość wyraźnie skryształizować swój profil, a co za tym idzie — znaleźć swoje miejsce w krajowym ruchu wydawniczym. Różnorodny program edytorski stanowi literatura piękna, zwłaszcza zaś współczesna proza, kontynuowane są konsekwentnie serie wydawnicze i cykl wznowień, całość zaś trzyma się całkiem niezłe pod względem ekonomicznym.

A jednak to chyba mało jak na realne możliwości i potrzeby czytelnice. Panuje u nas opinia, że o edytorze można z pełnym uznaniem mówić wtedy, gdy wydaje on co najmniej 100 pozycji rocznie. Po przekroczeniu tej granicy wydawca zyskuje już zazwyczaj większą swobodę w kształtowaniu profilu oficyny, może podejmować nowe inicjatywy, lepiej też służy „przypisanym sobie” środowiskom twórczym, no i czytelnikowi.

Mam przed sobą plan Wydawnictwa Łódzkiego na rok 1978. Nasz edytor zamierza wydać 60 tytułów, 675 arkuszy wydawniczych i 1200 tys. egzemplarzy książek o dosyć wysokim nakładzie przeciętnym, sięgającym 20 tysięcy. Trzeba powiedzieć, że to znowu mało, ale — jeśli uwzględnić perspektywę — powodu do pesymizmu nie ma, wręcz przeciwnie może nie imponująca, ale wyraźna tendencja rozwojowa. Trudno o duży wzrost w okresie braku papieru. Rzecz wszakże nie tylko w podnoszeniu wskaźników, którymi posługują się księgowi, ile w koncepcji

czy też modelu wydawnictwa trafnie przystosowanym do potrzeb czytelnika. Wydaje mi się, że tegoroczny program Wydawnictwa znacznie się wzbogacił. Jego podstawę stanowi nadal proza współczesna, pisana w głównej mierze przez autorów łódzkich. Trudno, rzecz prosta, o cenzurki dla nie wydanych jeszcze powieści, można jednak powiedzieć, że będzie to rok stosunkowo obfity. Z łódzkich pisarzy niemal wszyscy zaprezentują problematykę współczesną — Bernard Sztajner, Włodzisław Krzemiński, Jerzy Wawrzak, Władysław Orłowski, Ryszard Bin-

kowski, a i Henryk Czyż, znakomity dyrygent, który napisał powieść — „Serkał i inne tizery”, a przygotowuje do druku znane, telewizyjne opowieści muzyczne — „Nie taki diabeł straszny”.

Czy jest w tym prozatorskim repertuarze jakaś „bomba”? Nie wiem tego, sądząc jednak po ogólnym stanie powieści współczesnej, na wybuch dużych rozmiarów trudno jeszcze liczyć. Ale to chyba ważne, że sprawy człowieka dzisiejszego budzą tak duże zainteresowanie pisarzy Łodzi. Napływają nowe powieści — W. Bilińskiego, E. Kopczyńskiego i W. Rymkiewicza — które, być może przeciwieństwo przy szczęśliwych konstatacjach — dojdą rąk czytelnika w 1978 roku. Nie bez znaczenia jest także fakt, że łódzki wydawca ułożył w reprezentacyjnej Kolekcji Współczesnej Literatury Polskiej trzy, jak dotąd, powieści — W. Karczewskiej, B. Sztajnera i W. Jażdżynskiego.

W Bibliotece Poetyckiej, wydawanej z godną uznania konsekwencją ukaże się 6 tomików — T. Chrościelewskiego, J. Huszczy (wybór z całości dorobku), M. Kuźniaka, J. Waleńczyka i jeden tylko, niestety, ale za to interesujący debiut T. Soidenhoffa, 6 tomików z pewnością nie ucieszy lamentów w długiej kolejce poetów, no, ale z drugiej strony warto pamiętać, że poeci rodzą się plutonami, falami, pokoleniami, bez oglądania się na realne możliwości wydawców.

Bibliotekę literatury jugosłowiańskiej reprezentują w planie na rok 1978 — 4 pozycje prozatorskie, m.in. powieść noblisty Iwo Andrica. Niezbyt to dużo, ale za to z sensem. W wymianie pozycji literackich między krajami zaprzyjaźnionymi powinna jednak obowiązywać stara zasada — „do ut des”, co można przetłumaczyć na staropolskie — jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie. Przecież nie powinno być tak, że my im dużo, a oni nam prawie nic, lub tylko poczynione wszędzie i kasowego Sienkiewicza. Mamy także kiepskie rachunki na przykład z krajami skandynawskimi. Jest to typowa miłość bez wzajemności. Wydawnictwo Poznańskie od lat wydaje współczesnych Skandynawów, nie brak ich w czytelnikowskiej serii „Nika”, natomiast naszej serii u północnych sąsiadów i ze świecą szukać darmo. Wróćmy jednak do Jugosławii. Oficyna łódzka

przygotowuje antologię starszobelskiej poezji „Dar słowa”, pierwszą chyba w Europie. Edycja ma być dość nobliwa, bogato okraszona grafiką.

Skoro już mowa o przekładach, chciałbym wyrazić zaniepokojenie chudziutkim i w tym roku działem radzieckim. Na dobrą sprawę znalazłem w nim dwie tylko pozycje, z pewnością interesującą mini-antologię „Wierszy sercu bliskich”, przygotowaną przez Igora Sikiryckiego oraz Ładyńskiego „Annę Jarosławną królową Francji”, zapewne zbeletryzowany esej historyczny. Ufam, że to się tak w tym roku złożyło, bo przecież trudno przypuszczać, że chodzi tu o brak ciekawych pozycji lub zawód ze strony niezmordowanych dotąd naszych łódzkich tłumaczy. Wydawnictwo przygotowuje obszerną antologię pod roboczym na razie tytułem „ZSRR w poezji polskiej”. Weźmie w niej udział około 100 poetów polskich, całość redaguje Igor Sikirycki, konsultuje prof. Bazyli Białokozowicz.

Literaturze pięknej zwykły towarzyszyć pozycje krytyczno- czy też paralieryckie. Nasz łódzki edytor proponuje wydanie tylko trzech książek z tego zakresu: Andrzeja Waśkiewicza, „Formy obecności nieobecnego pokolenia”, rzecz o ruchu literackim młodych w latach 1960 — 70, Tadeusza Błażewskiego „Politykę i pióro”, poświęconą twórczości Władysława Kowalskiego i Urszuli Aszyk-Milewskiej „Poszukiwania teatralne”, poświęcone działalności Iwo Galla. Są to z pewnością propozycje cenne, sprawiają jednak wrażenie przypadkowych, dość przygodnie zebranych, nie tworzą logicznej całości, nie zarysowują także jakiejś określonej tendencji. Wydaje mi się, że dobra, interesująca współpraca z odpowiednimi katedrami Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie już działa bardzo obiecujące pokolenie krytyków i literaturoznawców, przyniosłoby lepsze rezultaty niż życzliwa nieobecność.

Tej współpracy z łódzkim światem nauki, a nie brak tam ludzi dobrego pióra, nie widziałem się zbyt wyraźnie w ostatnich latach, choć przecież istniała wcześniej. Tymczasem to właśnie środowisko, obok literackiego, może i chyba powinno wzbogacać portfel wydawcy, aby mógł on stosunkowo szybko osiągnąć owe konieczne sto pozycji rocznie. Dziś ślaj trzeba i dobrze i dużo. Z tego co wiem, wzajemna współpraca zapowiada się obiecująco. Książek nie

się się wiosną i nie zbiera jesienią, zwłaszcza naukowych wymagających długich i żmudnych niekiedy studiów, ale rezultaty odnowienia współpracy już widać. W 1978 roku ukażą się prace Zofii Libiszowskiej — „Zolnierzy wolności Lafayette’a”, Władysława Stefaniuka — „Łódzka organizacja PPS 1945—1948”, Barbary Wachowskiej — „Łódzka organizacja KPP 1918—1928”, a także Henryka Dintera — „Spod czarnych dymów” — popularnonaukowa opowieść o XIX-wiecznej Łodzi.

Nasz łódzki wydawca rozbudowuje znowu, nieco po macoszemu ostatnio traktowano „Łodzian”. Książka Janusza Dunina „Żywoć i sprawy Sotera Rozbickiego”, poświęcona bardowi dawnej Łodzi czy Jerzego Urbaniewicza „Sezon w Łodzi nie zaskodzi”, a są to łódzkie anegdoty teatralne — to dobry prognostyk na przyszłość.

Ukaże się także „Kronika miasta Łodzi”, pod redakcją znanego „łodziologa”, A. M. Szrama, omawiająca najważniejsze wydarzenia w życiu miasta w ciągu roku, akcentująca zwłaszcza sprawy kultury. Po Olsztynie, Kielcach, Opolu, nie mówiąc już o Poznaniu, Krakowie czy stolicy, będziemy mieli wreszcie i my tę oczekiwaną edycję. Cóż, lepiej późno niż wcale.

A propos — wyjdzie również „Osnowa” po dwuletnim śnie w redaktorskim biurku, rzecz poświęcona problematyce tworzenia literackiego, muzycznego, plastycznego, filozoficznego, bogato okraszona poezją, prozą i esejami. Wydawca bije się w pierś, i przyrzeka wydawać „Osnowę” każdego roku.

I wreszcie reportaże. Jest ich w planie cztery, dwa łódzkie: Mirosława Kuźniaka i Lucjusza Włodkowskiego i dwa „importowane”. Wydawnictwo zamierza utrzymać ten gatunek twórczości w swoim programie poszerzając ten dział edytorski do rozsądnych granic.

Tak więc łódzka oficyna proponuje swoim czytelnikom znacznie szerszy, bardziej zróżnicowany wybór książek, rozwija się meandrami, wraca do niebacznie porzuconych inicjatyw, próbuje nowych. Myśli o wydawaniu wszystkich prac łódzkich naukowców, a nawet — jeśli zajdzie potrzeba — o wydawaniu prac specjalistycznych, związanych z włóknarstwem, aby możliwie szybko znaleźć się w gronie czołowych wydawnictw kraju.

SŁAWOMIR SWIONTEK

„MĄDREMU BIADA”

Kazimierz Dejmek niezwykle konsekwentnie realizuje koncepcję repertuarową Teatru Nowego. Na Małej Scenie próbuje — ponoc z niewielkim skutkiem — przyzwyczaić publiczność łódzką do odbioru teatru poetyckiego, mając nadzieję, że Lechoń, Herbert czy Słonimski potrafią siłą poetyckiego słowa przemówić bardziej do wyobraźni i uczuć widza niż telewizyjny serial o czterdziestolatku. Na Dużej Scenie sięga natomiast po sztuki, które w historii teatru reprezentowały ten stopień zaangażowania we współczesną im problematykę, który sprawił, że są one aktualne jeszcze i dzisiaj.

Konsekwencja repertuarowa Teatru Nowego nie wyraża się bowiem w preferowaniu określonych gatunków dramatycznych, czy jakiegoś okresu z historii dramaturgii. Przeciwnie — „Operetka”, „Wielki Fryderyk”, „Dialogus de Fissione” czy „Cień” wywodzą się z zupełnie odmiennych etapów rozwoju teatru i reprezentują kraczowo różne stylistyki dramatyczne. Jest jednak coś, co je łączy i pozwala dostrzec świadomy zamiar artystyczny we wprowadzeniu ich na scenę, uwidaczniany zresztą w sposobach scenicznej interpretacji.

Dejmekowi chodzi zawsze o to, by w repertuarze jego teatru znalazły się te pozycje, których inscenizacja pozwoliłaby z nich odczytać treści, jakie są aktualne dzisiaj, w konkretnej sytuacji społecznej, świadomościowej i politycznej. Nawet wtedy, gdy wystawiany jest „Dialog o Mece Pańskiej”, którego kolejne wersje — począwszy od warszawskiej — zaświadczyły taki właśnie model zaangażowania teatru. Nie chodzi przy tym jednak o uwspółcześnianie „na siłę” klasycznych tekstów dramatycznych lub czynienie z teatru estrady publicystycznej. Chodzi raczej o sposób zaangażowania, który by współczesnego widza wyrwał z marazmu, do jakiego prowokuje go narzucany mu współczesny styl bytowania i sposób recepcji dzieł sztuki.

Powierzenie Witoldowi Skaruchowi inscenizacji „Mądremu biada” Aleksandra Gribojedowa mieści się w tak rozumianej koncepcji repertu-

arowej Teatru Nowego. Koncepcji zakładającej pojmowanie teatru jako środka przekonywania o tym, że rzeczywistość, w której żyjemy, nie jest tak idealna, jak przedstawiają ją ci, którym na takim jej obrazie szczególnie zależy. Arcydzieło Gribojedowa — bo tak chyba należy określić niezwykłą sztukę rosyjskiego pisarza — mało straciło ze swej aktualności, mimo że od czasu jego powstania minęło już przeszło sto pięćdziesiąt lat. Może jedynie zastarzała się dzisiaj postać Czackiego, która łączy cechy bohatera romantycznego z rezerem typowym dla dydaktycznego dramatu XVIII-wiecznego. Z trudnościami, wynikającymi z takiego sposobu ujmowania bohatera, próbował sobie poradzić Piotr Krukowski. We współczesnym teatrze, który zrezygnował z przedstawiania tendencyjnych treści przy pomocy słowa, Karola Czackiego — owego „mądrego, któremu biada” — jest niezwykle trudna do interpretacji. Może dlatego, że dzisiejsi Czacki pamiętają, jak skończył się spisek dekabrystów, którzy wychodzili z podobnych założeń światopoglądowych, jakie reprezentował bohater sztuki Gribojedowa. Piotr Krukowski starał się ideowe tyrały Czackiego nasycić zaangażowaniem osobistym. Stworzył bohatera, którego przekonania są nie tyle podbudowane przyjęciem określonej ideologii, ile osobistym protestem człowieka wrażliwego i myślącego przeciwko głupocie świata, jaki go otacza. Jego działanie i płomienne wyznania wiary tracą w ten sposób charakter rezerstwa i uzyskują motywację psychologiczną. Takie potraktowanie postaci pozwala aktorowi na konsekwentne łączenie zawartej w jego wypowiedziach krytyki społecznej z wątkiem zawodu miłośnego, jaki przeżywa, stojącego zresztą u podstaw dość wątpliwej w sztuce Gribojedowa intrygi dramatycznej.

Główną rolę w tym wątku odgrywa ukochana Czackiego, Zofia, którą kreuje w spektaklu Diana Stein. Aktorka ograniczyła się do stworzenia typu sentymentalnej panielki, zakochanej w oszukującym ją Moleczalinie (Marek Barbasiewicz), a w



Teatr Nowy: Aleksander Gribojedow, Mądremu biada. Scena z balu.

Foto: A. Brustman

ustach jej tuwimowski przedkład brzmiał najmniej przekonująco. A przecież to właśnie Zofia jest autorką plotki uznającej Czackiego za wariata, i powodującej uznanie jedynego „mądrego” w świecie przedstawionych postaci za szaleńca. Czacki zostaje wskutek tego przez ten świat potępiony; decyduje się sam na odejście, choć równie dobrze przez świat, który ośmielił się osądzić, mógłby być zamknięty w domu dla chorych psychicznie. Nieco inne przemyślenie w tym względzie wagi roli, jaką spełnia Zofia dla wymowy intrygi dramatycznej, pozwoliłoby chyba ująć tę postać mniej schematycznie.

Obok Czackiego drugą główną postacią dramatu jest Famusow, grany przez Ryszarda Dembińskiego. Artys-

ta nie ograniczył się jedynie do satyrycznego ujęcia tej postaci obskuranta, piastującego wysokie stanowisko w moskiewskiej hierarchii urzędniczej. Z całym kunsztem swojego warsztatu aktorskiego nadał swojemu bohaterowi ogromną siłę komediową, nie czyniąc z niego obiektu satyry, ale wzbudzając nawet odruchy sympatii.

Pozostali aktorzy, biorąc udział w przedstawieniu, tworzą całą galerię typowych postaci szlachty moskiewskiej z lat dwudziestych ubiegłego stulecia. Wyróżnić wśród nich należy Wiesława Wieremiejezyka w roli pułkownika Skalożuba oraz wyśmienicie zagraną drobną rolę Zagorieczkiego w wykonaniu Bogdana Baera. Aleksander Gribojedow zapoczątkował w teatrze rosyjskim tradycję

dramatu będącego ostrą i śmiałą satyrą polityczno-społeczną. Tę tradycję, którą później podejmują autorzy jak Gogol, Suchow-Kobylin czy Majakowski. I mimo że utwory satyryczne związane są ściśle z problemami epoki, w której powstają dzieła wymienionych wyżej twórców nie tracą niczego ze swojej aktualności. Można się o tym przekonać oglądając „Mądremu biada” Gribojedowa w Teatrze Nowym.

TEATR NOWY: Aleksander Gribojedow, Mądremu biada. Przel. J. Tuwim. Reżyseria: Witold Skaruch. Scenografia: Zenobiusz Strzelecki. Premiera 17 grudnia 1977.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

GAZETA W FABRYCE

Przed dwoma laty — w kwietniu 1976 roku — na łamach „Odgłosów” pisałem o zakładowych gazetach. Artykuł mój nosił wówczas tytuł: „Komu gazetę?”. Teraz, kiedy po dwu latach wracam do tego tematu, będę się musiał kilkakrotnie odwoływać do tamtego artykułu, aby pokazać co się zmieniło w sytuacji prasy zakładowej i pokazać, czy się zmieniło.

W Polsce ukazuje się 200 gazet zakładowych o łącznym nakładzie przekraczającym 800 tysięcy egzemplarzy. Do najsilniejszych ośrodków prasy zakładowej należy bez wątpienia Śląsk. Łódź nadal — jak przed dwoma laty — znajduje się na końcu. Przez te dwa lata nie zmienił się bowiem nasz stan posiadania. W Łodzi wychodzą, tak jak wychodziły, 4 pisma zakładowe. Jedno w Pabianicach. Są to: „ECHA ELTY” — pismo Samorządu Robotniczego Fabryki Transforma-

którym zgłaszano wnioski, prezentowano inicjatywy, dyskutowano o wszystkich sprawach fabryki. Gazeta zakładowa jest i powinna być instrumentem integrującym załogę, mobilizującym ją do realizacji podstawowych zadań przedsiębiorstwa. We wrześniu 1977 roku odbyło się na Węgrzech spotkanie przedstawicieli prasy zakładowej z krajów socjalistycznych. W obradach tych uczestniczyli też przedstawiciele polskiej prasy zakładowej. Na tym spotkaniu zastępca kierownika Wydziału Agita-

nych miejscach, zaczynają doceniać pismo jako czynnik przekazywania informacji i oddziaływania na całą załogę.

Wydawałoby się, że również budownictwo odczuwa potrzebę oddziaływania na całą, jakże przecież rozproszoną, załogę. Wiadomo, że budownictwo boryka się z wieloma trudnościami i kłopotami. Mogłoby się wydawać, że właśnie budownictwo, realizujące ważne zadania społeczne, powinno przede wszystkim odczuwać potrzebę posiadania własnej gazety zakładowej, szukać instrumentów integrowania i mobilizowania załogi do realizowania ważnych i trudnych zadań. Dowiedziałem się jednak, że w budownictwie nie widzi się takiej potrzeby.

Nie widzą takiej potrzeby również niektóre przedsiębiorstwa w Łodzi, Zgierzu i Pabianicach. Być może jeszcze jej nie widzą. Być może przykład tych, którzy sięgną po ten ważki środek propagandy i informacji, po instrument szerokiego i wszechstronnego oddziaływania na załogę, pociągnie za sobą innych. W każdym razie fakt, że możliwość założenia gazety zakładowej tu i ówdzie jest dyskutowana, rodzi nadzieję również na zmianę ilościową.

Posiadanie gazety zakładowej nie jest luksusem. Trzeba jednakże spojrzeć na zakładowe pismo w całości, kształcie systemu funkcjonowania prasy w kraju. Zadaniem gazety zakładowej nie jest ani zastępowanie prasy centralnej czy regionalnej, ani jej wyręczanie czy dublowanie. Gazeta zakładowa ma tę prasę uzupeł-



GAZETA ZAŁOGI ZPB im. ARMII LUDOWEJ NR 12 GRUDZIEŃ 1977 r. CENA 50 GR

nych, pokazując jakimi sprawami zajmowali się i z jakim skutkiem. Tej pracy za tę gazetę zakładową nie mógłby nikt zrobić. A jest to przecież tylko jeden przykład.

Wiele jeszcze można napisać o roli, jaką spełnia gazeta zakładowa. Jednakże jej prawidłowe funkcjonowanie zależy od ludzi, którzy redagują gazetę, od ich wiedzy, umiejętności, doświadczenia i związków z załogą. „Uchwała Prezydium CRZZ z 15 stycznia 1974 roku o zasadach organizacji i działalności gazet oraz radców zakładowych” postanawia, że „praca redakcji (...) kierują społecznie kolegia redakcyjne, złożone z przedstawicieli organizacji społeczno-politycznych, kierownictwa zakładu oraz produkcyjnych robotników, najaktywniejszych współpracowników i korespondentów”. Do zadań kolegium redakcyjnego — jak stwierdza wspomniana uchwała — „należy zatwierdzanie okresowych planów pracy i czuwanie nad ich realizacją, dokonywanie bieżących i okresowych ocen gazety (...) oraz podejmowanie decyzji w sprawach wynikających z toku pracy redakcji”. Jednak nawet najlepsze kolegium nie zastąpi redakcji, w której muszą znaleźć się ludzie ze znajomością dziennikarskiego rzemiosła.

Łódzkie środowisko dziennikarskie nie dysponuje taką rezerwą kadrową, aby można było kierować do gazet zakładowych ludzi dobrze do tej pracy przygotowanych. Często redaktorzy gazet zakładowych łączą po dwie funkcje: pracują w macierzystej gazecie i redagują pismo zakładowe. W gazecie ukazującej się co dwa tygo-

pracujący tam tylko na pół etatu, mający wcale niemałe obowiązki w swoich redakcjach macierzystych. W „Echach Elty” jest vacat dla dzień i karza. Jedynie „Nasza Trybuna” posiada pełną obsadę etatową. Sytuacja kadrowa w prasie zakładowej wydaje się teraz być gorsza niż przed dwoma laty i nie zmienia tego faktu lepszej obsady dziennikarskiej w „Głosie Włókniańskim”.

Przed dwoma laty napisałem: „Co robić, aby to dość ważne ogniwo w kształtowaniu świadomości ludzi pracy, ważne ogniwo propagandy udoskonalić, podnieść jego pracę na wyższy poziom?”

Postulowałem wówczas „wprowadzenie jednolitego organizacyjnego systemu redagowania i wydawania gazet zakładowych”. Pisałem o tym, że „narodziła się koncepcja powołania jednej wspólnej dla wszystkich pism zakładowych redakcji technicznej wraz ze wspólną koteką”. Ta koncepcja jest nadal aktualnym postulatem.

Cytowana już „Uchwała Prezydium CRZZ z 15 stycznia 1974 roku” postanawia, że dziennikarzy pracujących w gazetach zakładowych można objąć zasadami i stawkami plac zarobkowy w Układzie Zbiorowym Pracy Dziennikarzy z 24 maja 1967 roku, wraz z wszystkimi zmianami jakie później wprowadzono, tyko wtedy, jeśli gazeta zostanie wpisana do rejestru Stalej Komisji Mieszanej przy Zarządzie Głównym ZZ Pracowników Książki, Prasy i Radia. Zastrzeżenie to warunkuje dour poziom gazet zakładowych. Ale też go w jakimś stopniu ogranicza. Pozwala wydawcom na dowolność w przyjmowaniu do pracy w zakładowych gazu-

GŁOS WŁÓKNIARSKI

ORGAN SAMORZĄDU ROBOTNICZEGO ZPB im. JULIANA MARCHLEWSKIEGO • POLTEX • W ŁODZI
ODZNACZONYCH ORDEREM SZTANDARU PRACY PIERWSZEJ KLASY

torów i Aparatury Trakcyjnej „Elta”, „NASZA TRYBUNA” — gazeta załogi ŁZPB im. Obrońców Pokoju, „GŁOS WŁÓKNIARSKI” — organ Samorządu Robotniczego ZPB, im. J. Marchlewskiego „Poltex”, „NASZE PERSPEKTYWY” — gazeta załogi ZPB im. Armii Ludowej „INFORMATOR” — organ załogi PZPR im. Bohowników Rewolucji 1905 roku „Pamotex” w Pabianicach. „Informator” jest najstarszą gazetą zakładową województwa łódzkiego. Redagowany jest siłami społecznymi, drukowany we własnym zakresie przez pabianickie zakłady.

cji i Propagandy KC WSPR — Laslo Fodor powiedział między innymi: „Prasa zakładowa odgrywa dużą rolę w mobilizacji sił i środków dla urzeczywistnienia polityki partii i państwa w środowiskach wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, dobrze służąc pobudzeniu i rozwijaniu wielu inicjatyw środowiskowych oraz kształtując zaangażowane postawy pracowników na rzecz postępu społecznego i gospodarczego. Czasopisma zakładowe mogą lepiej niż dotąd wykorzystywać siłę swej informacji i publicystyki, której treści wynikają ze znanych odbiorcom konkretnych, z argumentacji bezpośrednio sprawdzalnej”.

Myślę, że te słowa odnoszą się również i do naszej prasy zakładowej, dobrze określając jej społeczne i polityczne role oraz jej możliwości.

niać. Na jej łamach musi konkretyzować się polityka partii. Tutaj generalne założenia polityki partii sprowadza się do konkretnych. W gazecie zakładowej znajdują one odniesienie do wydziału, brygady, zespołu, a niekiedy poszczególnych ludzi. Gazeta powinna być pomocnikiem w realizacji generalnych założeń produkcyjnych i polityczno-wychowawczych. Pomocnikiem dla zakładowej instancji i dla administracji przedsiębiorstwa.

Wiele mówi się na przykład o potrzebie oszczędzania, o korzyściach jakie oszczędzanie daje. „Nasze Perspektywy” podjęły ten problem na konkretnych przykładach, pokazując ludzi oszczędnych i korzyści jakie odnieśli. Podjęły z dużym społecznym skutkiem. W podobny sposób potraktowano również problem pracy rad-

1. Czy istotnie w Łodzi nie może być więcej gazet zakładowych? A w Zgierzu i Pabianicach?

NASZA 7 PAŹDZIERNIKA 1977 R. CENA 50 gr.

TRYBUNA

NR 17 (67) GAZETA ZAŁOGI ŁZPB im. „OBROŃCÓW POKOJU”

Pytania te nie biorą się z ambicji, nie wynikają ze świadomości, że skoro Śląsk stał na kilkadziesiąt gazet zakładowych, Bydgoszcz na kilkanaście, to dlaczego my mamy być gorsi. Pytania te wynikają ze zrozumienia roli gazety zakładowej.

Wiadomo, że nie posiadamy nadmiaru papieru, że nakłady wielu dzienników i czasopism są limitowane. Jeśli więc w tych trudnych warunkach powstają i funkcjonują gazety zakładowe, to są one potrzebne. Są one bowiem ważnym ogniwem w kształtowaniu świadomości załogi, są ważnym instrumentem w całokształcie pracy propagandowej i informacyjnej.

Gazeta zakładowa powinna spełniać rolę forum, na którym załoga wyraża swoje opinie i postulaty, na

Właśnie społeczna i polityczna rola prasy zakładowej rodzi pytania o ilość i jakość jej w Łodzi i województwie łódzkim.

3. Czy sytuacja rzeczywiście nie zmieniła się przez dwa lata?

Ilościowo nie. Zmieniła się natomiast jakościowo. Jak mnie poinformowano o wydawanie gazet zakładowych ubiegają się inne łódzkie przedsiębiorstwa. Zmiany tej jednak nie upatrywałbym tylko w fakcie, że dwa przedsiębiorstwa wystąpiły o gazetę, a w tym, że coraz wyraźniej dyrekcje przede wszystkim przedsiębiorstw rozproszonych, posiadających swoje oddziały i filie w róż-

dnie powinno być dwu dziennikarzy oraz sekretarka, w ukazującej się co 10 dni — trzech, czterech dziennikarzy, a w tygodniku nawet pięciu. Tak postanawia cytowana tu uchwała. Dla łódzkiej rzeczywistości gazet zakładowych jest to postulat.

Mówi się więc coraz głośniejsze, że gazety zakładowe powinny być miejscem stażu dla ludzi przychodzących do zawodu. Mówi się nie bez słuszności, że praca w gazecie zakładowej, do której delegowałyby gazety macierzyste, byłaby rzeczywistą szkołą zawodu. Można się z tym zgodzić, ale pod jednym warunkiem, że młodych dziennikarzy oddawałoby się w ręce doświadczonych dziennikarzy, którzy byłiby w stanie nimi zaopiekować się i pokierować ich nauką. Dopóki ten postulat nie będzie spełniony, gazety zakładowe nie staną się szkołą zawodu.

„Naszymi Perspektywami” i „Głosem Włókniańskim” kierują wprawdzie doświadczeni dziennikarze, ale

tach, pozwala na różnicowanie plac w zależności od zakładowych możliwości, przyczynia się wreszcie do tego, że prasę zakładową — wbrew oczywistości — traktuje się jak coś gorszego, jak zabawę w dziennikarstwo. A jest to taka sama praca jak w każdej redakcji i tak powinna być traktowana. Wydawcy powinny zależeć na dobrym poziomie gazety zakładowej, na tym aby uzyskała ona wpis do wspomnianego tu rejestru. Ale czy zależy?

Mówiło się swego czasu o możliwości przejęcia prasy zakładowej przez RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Przed dwoma laty pisałem o tym również, upatrując w tym właśnie owe „wprowadzenie jednolitego organizacyjnego systemu redagowania i wydawania gazet zakładowych”. Przejęcie gazet zakładowych przez RSW „Prasa — Książka — Ruch” nadałoby im niewątpliwie wyższą rangę. Ale czy dziś jest już to aktualne?

informator

ORGAN ZAŁOGI PABIANICKICH Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Bohowników Rewolucji 1905 roku „PAMOTEX” w PABIANICACH

W Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. Ludwika Waryńskiego, wojskowej, partyjno-politycznej uczeni zdobywają wiedzę i umiejętności pracownicy frontu ideologicznego średniego szczebla dowodzenia w wojsku, bezpośredni realizatorzy zadań ideowo-wychowawczych i kulturalno-oświatowych w pododdziałach i jednostkach wojskowych.

W zespole rozległych zadań szkoleniowo-wychowawczych, w procesie doskonalenia i wzbogacania wiedzy naszych słuchaczy wysoką rangę wyznaczamy kulturze. Podstawę do wielokierunkowej pracy w tym zakresie stanowi „Program działalności kulturalno-oświatowej Centrum na lata 1976-1980”, który w swych założeniach merytorycznych i metodologicznych uwzględnia możliwości kulturalno-oświatowe Łodzi oraz potrzeby i możliwości samej szkoły.

Realizacji tego programu przyswiecają następujące cele:

Po pierwsze — ukształtowanie twórczej i bogatej kulturalnie osobowości oficerów, chorążych, podoficerów zawodowych i podchorążych, rozwijanie upodobań estetycznych, umiejętności klasowego wartościowania a zjawisk i wydarzeń kulturalnych;

Po drugie — stworzenie sprzyjających warunków uczestnictwa w kulturze poprzez rozwijanie twórczości amatorskiej, otaczanie troską ludzi utalentowanych oraz wykorzystanie ich w społecznej działalności kulturalnej.

Po trzecie — rozwinięcie u słuchaczy poszczególnych kursów umiejętności praktycznego organizowania różnorodnych form działalności kulturalno-oświatowej.

Po czwarte — umacnianie kultury moralnej, a zwłaszcza kształtowanie kulturalnego zachowania się w służbie i poza służbą, należycie pojmowanego koleżeństwa, wzajemnej życzliwości, gotowości udzielania bezinteresownej pomocy, zaufania do ludzi.

Urzeczywistnieniu powyższych założeń służy m.in. uczestnictwo słuchaczy w spektaklach teatralnych, zwiedzanie licznych ekspozycji sztuki, działalność DKF, koła filmu dydaktycznego, amatorskich zespołów artystycznych, a zwłaszcza cieszących się w naszym środowisku największym uznaniem zespołów poezji organizowanych przez podchorążych i kadetów, praca licznych kół zainteresowań, a także wycieczki turystyczne.

Realizując w naszej uczelni „Program kultury” dążymy do tego, by rozwijanie życia kulturalnego służyło kształtowaniu osobowości i socjalistycznej świadomości kadry i słuchaczy, wpływało na kulturę służby, na kształt stosunków międzyludzkich. Pragniemy jednocześnie ugruntować umiejętność klasowej oceny dorobku kultury narodowej, odróżniania tego co piękne i postępowe od płytkich i wątpliwej wartości wytworów kultury burżuazyjnej; umysłowaniu także słuchaczom na konkretnych przykładach, iż sfera kultury była i jest istotnym instrumentem w walce ideologicznej.

KULTURA I OŚWIATA W PROGRAMACH SZKOLENIA I WYCHOWANIA

Realizując hasło o wyższej jakości służby i szkolenia, traktując kulturę jako wielki obszar działania i czynny składający procesy szkolenia i wychowania, permanentnie doskonalimy programy nauczania m.in. poprzez wprowadzanie do nich wybranych tematów o kulturze i oświacie.

Skalę naszego wysiłku i poczynić w tym przedmiocie w ciągu ostatnich 2 lat można zilustrować następująco: W programach wszystkich kursów uwzględniono 6-8 godzin zajęć retyryki. Dalsze 10-12 godzin zajęć z retyryki przeprowadza się w czasie poleceń, także w formie konkursów krasomówczych. Aktorzy oraz nauczyciele akademicki UL i PWSTF-TV, uczą najmłodszych pracowników frontu ideologicznego wojska pięknego języka i celnego się w n posługiwania.

Do programów nauczania wprowadzono pięć 4-godzinnych tematów na temat kultury stosunków międzyludzkich, kultury organizacji i dowodzenia (kultury pracy sztabowej), kultury technicznej i kultury sanitarnej. Zajęcia na powyższe tematy prowadzi z reguły członkowie Komendy, specjaliści i szefowie służby.

W programie szkolenia uwzględniono 4-godzinne zajęcia na temat kultury w polityce kadrowej. (Determinaty opinowania kadry zawodowej i żołnierzy służby zasadniczej).

W trosce o wyraźną poprawę redagowanych materiałów propagandowych na szczeblu sekcji politycznej — wydziału politycznego wniesiono do programów nauczania 4-6 godzin poligrafii. Praktyka potwierdza bowiem, że efektywność propagandy wizualnej zależy także od jakości artystycznej kompozycji i umiejętności posługiwania się techniką druku.

Przy pomocy pracowników na Uniwersytecie Łódzkim przeprowadzono i unowocześniono programy nauczania obejmujące wybrane zagadnienia z historii sztuki (malarstwo, architektura, rzeźba), wybrane elementy wiedzy o teatrze, zagadnienia z literatury i wiadomości o filmie, muzyce, rozbudowano dział obejmujący kulturę żywego słowa.

Realizację zadań dotyczących działalności kulturalno-oświatowej ujętych w dyrektywach wyższych ogniw służbowych oraz wynikających z naszego programu działania skutecznie

WŁADYSŁAW HONKISZ

Z KULTURĄ NA TY

wspiera baza pracy kulturalno-oświatowej. Wyróżnia się w tym względzie działalność Gabinetu Kultury i Oświaty, Gabinetu Technicznych Środków Nauczania, wielostronna działalność Biblioteki Naukowej i Beletrystycznej oraz świetlice.

Uznając, że najpowszechniejszą i najbardziej skuteczną — bo obejmującą swym zasięgiem wszystkich bez wyjątku żołnierzy — formą działalności kulturalno-oświatowej są zorganizowane, programowe zajęcia kulturalno-oświatowe w czasie wolnym od zajęć — nauczaniu form i metod pracy z żołnierzami poświęcamy najwięcej uwagi. Doświadczenie potwierdza bowiem, że od poziomu zajęć kulturalno-oświatowych, ich atrakcyjności w znacznym stopniu zależy rozwój intelektualny i kulturalny żołnierzy.

Podajemy zatem wielostronne „natarcie” na praktyczną stronę nauczania. Słuchacze samodzielnie opracowują plany pracy kulturalno-oświatowej, programy konkretnych imprez, scenariusze konkursów, wieczornic, spotkań. Wartość, realność i przydatność opracowanych wersji imprez kulturalno-oświatowych ocenia wykładawca wraz z całą grupą szkoleniową.

Słuchacze kursów zawodowych i rezerwy są autorami i bezopornymi organizatorami wielu przedsięwzięć kulturalno-oświatowych. Ich „poligon doświadczalny” stanowią pododdziały Centrum oraz jednostek garnizonu łódzkiego. Poważny zasób twórczej energii i inwencji wyniesionych z wyższych uczelni wojskowych i cywilnych w pełni owocuje w praktyce, co najlepiej potwierdzają zajęcia w polu, ćwiczenia, w dłuższym wymiarze czasu pobyt na poligonie.

ŻYCZLIWOŚĆ NA CO DZIEŃ — WAŻNA SFERA ODDZIAŁYWANIA KULTURY

Rozległa sfera stosunków międzyludzkich, wzajemnych relacji przełożony — podwładny; oraz starszy — młodszy (stopniem, wiekiem lub służbą) odnosi się w naszej partyjnej uczelni zarówno do służbowego jak i partyjnego, młodzieżowego i kulturalno-oświatowego działania. Świadomość, że to nasi wychowankowie mają w przyszłości uczyć i wychowywać żołnierzy sugeruje najwyższy szczeblek dla wszystkich wartości jakie w odniesieniu do problemu stosunków międzyludzkich w armii typu socjalistycznego można zgłosić. Stąd tak wiele uwagi w warstwie merytorycznej działania, eksponowanie treści odnoszących się do sfery stosunków międzyludzkich w programie szkolenia, stał ambicją pełnej zgodności słów i czynów w codziennym postępowaniu wychowawców i wychowanków.

Wyjątkowo wysokie wymagania stawiamy całej żołnierskiej społeczności w naszej uczelni jako, że w ogromnym procencie rekrutuje się ona z kandydatów i członków państw i reprezentuje wysoki poziom intelektualny. Wysokie wymagania, jako że w armii o jednorodnej strukturze klasowej nie może być wyłączeń i wynaturzeń w sferze stosunków międzyludzkich.

Tak więc kultura moralna rozumiana m.in. jako potrzeba przestrzegania socjalistycznych norm moralnych, obyczajów i zwyczajów, jak filozofie postępowania głosząca kształtowanie najbardziej humanistycznych stosunków międzyludzkich — to forma i metoda usuwania źródeł napięć, konfliktów i sprzeczności w sferze etyki i jako nakaz najwyższej troski o człowieka — krzewimy i stosujemy w praktyce. Uczymy, że prawidłowy układ stosunków międzyludzkich stanowi najwyższa kultura odnosząca się do żołnierzy, wzajemny szacunek i życzliwość, godne zachowanie się w myśl zasady: wojsko to jedna wielka rodzina, w której żołnierz jest bratem i bratem drugiego żołnierza, w którym z racji kolektywności współdziała m.in. poprzez działalność kulturalno-oświatową zwalczając wszelkie skutecznie obskurantyzm i wulgaryzm, zastój i nudę, naruszanie dyscypliny.

W toku nauczania podejmujemy zatem wiele długofalowych przedsięwzięć związanych z uszlachetnianiem stosunków międzyludzkich. Ucząc wywołamy u podwładnych szlachetne skłonności, pobudzamy do aktywności, sugerujemy potrzebę tworzenia przez wychowanków nowych wartości

ści moralno-politycznych, kulturalno-oświatowych i społecznych. W warstwie merytorycznej zarówno od strony teorii jak i praktyki uczymy podchorążych sprawiedliwej oceny ludzkiej życzliwości, taktu i wzajemnego szacunku do siebie — jako najwyższego przejawu kultury.

Uczymy umiejętnego korzystania z dóbr kulturalnych. Przestrzegamy przed przecenianiem dóbr materialnych, które nie są w stanie wypełnić naszej egzystencji pożądanymi treściami. W motywacji naszego działania odwołujemy się do słów ministra obrony narodowej gen. armii W. Jaruzeńskiego, który stwierdził m.in.: „Kultura jest czynnikiem rozwoju oraz wzbogacania osobowości i wręczliwości, taktu i skromności, humanizacji i uszlachetnienia stosunków międzyludzkich, rozszerzenia horyzontu umysłowego, skali zainteresowań oraz intelektualnych aspiracji, pobudzania i zaspokajania potrzeb estetyczno-kulturalnych i rekreacyjno-rozrywkowych”.

O KULTURZE W KOLACH NAUKOWYCH I KOLACH ZAJNTERESOWAŃ

W systemie pracy pozalekcyjnej w naszej uczelni istotną rolę odgrywa działalność kół naukowych. Skupiają one pokątne grono podchorążych — absolwentów wyższych uczelni humanistycznych.

Tak np. Koło Naukowe Teorii i Metodologii Pracy Partyjno-Politycznej podejmuje w swej działalności różnorodne przedsięwzięcia związane z kulturą i oświatą. Z ciekawszych form pracy na uwagę zasługują podroże dydaktyczne do jednostek w celu konfrontacji wyniesionej z uczelni teorii z praktyką życia w jednostkach.

W ramach działalności koła naukowego tego profilu prof. dr hab. K. Koliński (UL) poprowadził dyskusję nad pedagogicznymi walorami kultury zaś prof. dr hab. A. Kłosowska (UL) prezentowała m.in. wyniki ostatnich badań socjologicznych dotyczących kultury w Polsce.

Problematykę dotyczącą kultury podejmowali i podejmują w swej działalności członkowie Koła Naukowego Marksizmu-Leninizmu. Przedmiotem rozważań była m.in. polityka kulturalna w naszym państwie, dyskusja nad treścią sztuki A. Nowaczyńskiego „Wielki Fryderyk” oraz „Obrona Sokratesa”. Na forum działalności koła omawiano także następujące problemy: Marksistowska krytyka moralności burżuazyjnej w „Świętej Rodzinie”, „Co nowego w studiach filozoficznych”, „Czy Biblia ma rację”, „Jak powstał człowiek” i inne. Członkowie Koła Naukowego Marksizmu-Leninizmu zorganizowali w marcu 1977 r. wspólnie ze studentami Uniwersytetu Łódzkiego konferencję popularno-naukową nt. „Rola i zadania aparatu politycznego ludowego Wojska Polskiego w kształtowaniu i upowszechnianiu kultury politycznej”. Ważnym uzupełnieniem sesji była zorganizowana staraniem członków koła naukowego — podchorążych, wystawa plakatów politycznych oraz książek i periodyków społeczno-politycznych.

Członkowie Koła Naukowego Marksizmu-Leninizmu wzięli ostatnio aktywny udział w przygotowaniu i przeprowadzeniu ogólnopolskiej konferencji nt. robotniczych tradycji ruchu łódzkiego.

Godzi się wspomnieć, że w Ogólnopolskim Seminarium Nauk Politycznych nt. „Kształtowanie kultury politycznej w rozwiniętych społeczeństwach socjalistycznych” referat problemowy w opracowaniu słuchaczy Centrum (kpt. mgr Z. Wardziukiewicz, sierż. pchor. mgr W. Blasiak i sierż. pchor. mgr E. Janula) pt. „Świadomość społeczna klasy robotniczej a jej kultura polityczna” otrzymał główną nagrodę.

Wielostronna jest działalność Koła Filmu Dydaktycznego kierowanego przez ppik mgr. M. Kańsińskiego i Dyskusyjnego Klubu Filmowego, którego opiekunem jest mjr mgr B. Wojakowski. Działalność tych kół wzajemnie się uzupełnia, pozostaje w bezpośrednim związku z działalnością pozalekcyjną, skutecznie uzupełnia i przedłuża program szkolenia i wychowania.

Podstawowym celem działania Koła Filmu Dydaktycznego jest prezentowanie ciekawszych filmów krótkometrażowych o społeczno-politycznej

treści. Skalę wysiłku i zainteresowań podchorążych stanowi projekcja 24-30 tytułów filmów tego gatunku roczne. Z inicjatywy członków koła zorganizowano ostatnio kurs operatorów kamer filmowych, który ukończyło 14 słuchaczy. Dorobek koła stanowi realizacja (scenariusz, reżyseria, realizacja) dwóch kronik z życia centrum, filmu pt. „Powszedni dzień Szkoły Oficerów Rezerwy”, krótkometrażówki pt. „Działalność Koła Naukowego Marksizmu-Leninizmu”. Członkowie koła m.in. turlunus SOR przystąpili do realizacji krótkometrażowego filmu pt. „Na poligonie”.

Członkowie Dyskusyjnego Klubu Filmowego są inicjatorami wielu ciekawych przedsięwzięć związanych z filmem. 2-3 razy w miesiącu organizują projekcje i dyskusje nad filmami o rozległej problematyce. Do dyskusji zapraszają realizatorów i autorów filmu. W spotkaniach tych wzięli m.in. udział: Czesław Wołkiewicz, Barbara Wrzesińska, Ryszard Filipiński, Barbara Brzosko-Medryk, Henryk Rewkiewicz, bohaterowie serialu TV „Daleko od szosy” Irena Szweczyk i Krzysztof Stroński.

Coraz powszechniej zainteresowanie podchorążych fotografią znajdują m.in. swoje potwierdzenie w działalności Koła Fotograficznego pod patronatem kpt. mgr R. Kaufmanna. Niezależnie od doskonalenia „warsztatu” twórczego sztuki fotograficznej, członkowie koła prezentują swój dorobek w postaci fotoserwisów w pododdziałach. Pokłosie współpracy z Zakładami i Mają stanowi komplet zdjęć z okazji 100 rocznicy ich istnienia pt. „Człowiek pracy”, zaś wyjątkowo serowani patronatu nad Domem Dziecka — zorganizowanie specjalnej wystawy pt. „Jeden dzień w moim domu”. Plut. pchor. mgr K. Maciuk zaprezentował w czerwcu 1977 r. najbardziej dojrzalszy warszt fotograficznym w zestawie „Życie podchorążych na poligonie”.

SLUCHACZE CENTRUM TWORZA PROGRAMY IMPREZ

Traktując wychowanie kulturalne jako integralną część wychowania socjalistycznego, przywiązujemy wielką wagę do działalności amatorskich zespołów artystycznych, teatru poezji i faktu. Kolejne roczniki słuchaczy podejmują się trudu opracowania programów artystycznych dla uświetnienia określonych rocznic i wydarzeń. Pozostajemy zwłaszcza z dużym uznaniem i szacunkiem dla wysiłków podchorążych Szkoły Oficerów Rezerwy.

Widowisko „Proces Proletariacki”, które można obdarzyć mianem Teatru Faktu, a które dostarczyło wielu przeżyć estetycznych, wzbudziło zainteresowanie tematem i epoką, w której odbył się proces, w przystępny sposób utrwalilo problemy i ludzi, którzy zapisał się w chlubnej księdze rewolucyjnego czynu. Scenariusz autorstwa absolwentów Uniwersyteku Warszawskiego i Jagiellońskiego podchorążych: J. Carzastego, J. Boryka i A. Czapliewskiego napisany został na podstawie opracowań naukowych o Wielkim Proletariacie oraz publikacji w związku z procesem. Autorem tekstu i wykonawcom udało się oddać trafnie atmosferę tamtych dni, podnieść do rangi faktu historycznego mowę obrońcy patrona Centrum Ludwika Waryńskiego. Mowy oskarżonych, świadków oraz składu sędziowskiego nasyciono faktami, które pogłębiły znajomość problematyki ruchu robotniczego. Była to kolejna lekcja historii — prezentowana przez kilka tygodni w różnych środowiskach naszego miasta.

Sukces widowiska wpłynął mobilizując na pozostałych podchorążych. Zespół artystyczny powiększył się o recytatorów, muzyków i wokalistów i przygotował wieczór poezji „Tu w — poeta Łódź”. Wprowadzenie odpowiednich elementów plastycznych i tła muzycznego, wysoki poziom recytacji zdecydowały o ponownym sukcesie artystów — podchorążych w żołnierskich mundurach.

Plut. pchor. mgr A. Czapliewski jest autorem programu pt. „Chile — kraj ludzi, poezja”, który zaskakuje dojrzałością montażu poezji, prozy i piosenek chilijskiej. W programie spektaklu wykorzystano ostatnie przemówienie prezydenta Allende, a film „Człowiek” był doskonałą ilustracją tragicznych wydarzeń, którym poświęcono najwięcej uwagi.

Bardzo dobrze wypadł sceniczny egzamin zespołu artystycznego podchorążych z okazji Dnia Zwycięstwa w ubiegłym roku. Na program złożyły się m.in. utwory Broniewskiego, Łączyńskiego i Rózewicza. Uzupełnieniem programu były pieśni żołnierskie, w wykonaniu zespołu i solistów: kpr. pchor. mgr J. Czarzastego, plut. pchor. mgr R. Nowaka, plut. pchor. mgr A. Narkiewicz.

Uczelniany Teatr Poezji i Faktu posiada na swym koncie kilka innych udanych premier, wśród nich „Balladę o tamtych dniach”, „Noc listopadową”, „W hołdzie bohaterom walk”. Wykorzystując teksty znanych poetów i prozaików, podchorążowie opracowują scenicznie każdą sztukę samodzielnie, nadają jej własny, dostosowany do warunków i możliwości kształt. Wykorzystują wg własnego pomysłu filmy, przeźroczka, nagrania, plakaty, ubiór. Są również autorami wielu tekstów i podłoża muzycznego. W ciągu roku słuchacze centrum opracowują 3-4 programy artystyczne, z których każdy prezentowany jest 10-12 razy na scenie klubu żołnierskiego i na scenach klubów zakładowych i szkół.

W programach działalności kulturalno-oświatowej eksponowane miejsce zajmują różnego rodzaju konkursy. Ich zakres tematyczny jest bardzo szeroki, ograniczy się zatem do wymienienia kilku zaledwie tematów: udział w III Akademickim Turnieju znajomości języka rosyjskiego i wędzy o Kraju Rad (II miejsce drużynowo wśród uczelni łódzkich, VIII miejsce indywidualnie plut. pchor. mgr J. Helle w skali ogólnopolskiej); udział w Ogólnowojskowych Konkursach Czytelniczych; udział w Ogólnopolskim Konkursie pt. „Feliks Dzierżyński — życie, walka, praca” (V miejsce w skali ogólnopolskiej); organizacja wieloszczebelowego konkursu pt. „Julian Marchlewski” (w 120 rocznicę urodzin); „Ludwik Waryński — patron naszej uczelni” (w 100 rocznicę urodzin); „Polacy w Rewolucji Październikowej”; „Historia korpusu oficerów politycznych”; „33 lata w służbie narodu i partii” (w 33 rocznicę Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych); „Udział Polaków w październikowych wydarzeniach”. Aktualnie przygotowuje się wieloszczebelowy konkurs z okazji 60 rocznicy Armii Radzieckiej i 35 rocznicy ludowego Wojska Polskiego.

W ramach czasu przeznaczanego na działalność kulturalno-oświatową organizowane są także konkursy związane z procesem szkolenia ogólnowojskowego (znajomość broni, sprzętu, uzbrojenia, regulaminów, taktyki itp.).

Słuchacze naszej uczelni posiadają ukształtowane zainteresowania kulturalne, wyniesione ze studiów, zamilowanie do czytelnictwa, muzyki, filmu i teatru. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że „inwestując kulturę w siebie”. W ciągu 6 miesięcy ogładają ok. 10 sztuk teatralnych. Jest ambicją podchorążych i słuchaczy kursów zawodowych wykorzystać pobyt w Łodzi do zapoznania się z repertuarem teatrów, kin, jako że „Łódź nie tylko na wiośnie stoi”.

W ramach pracy świetlicowej organizowane są wieczory muzyczne: „Klasyki muzyki poważnej”, „Klasyki muzyki światowej”, „Muzyka współczesna”, „Uczymy się słuchać muzyki”, „Beethoven klasyk — Beethoven romantyk”, „Utwory Chopina”, „Alfabet wspomnień”, „180 rocznica powstania hymnu Rzeczypospolitej”, „Oto godzina zasłuchania”, „Spotkanie z dziełem”, „Raport faktofograficzny”. Znawcy przedmiotu wprowadzają słuchaczy do tematu, prezentują (odtwarzają) utwory z taśmami lub z płyt. Są to najczęściej wieczory przy świecach.

W bogatym arsenale form miłośnicy także działalności hobbistyczna. Są wśród słuchaczy zbieracze poczołówek, kalendary, monet, breloczków i znaczków. Temat „Listy z obywateli internowanych” ppik mgr S. Bilskiego i „Grunwald — symbol walki i zwycięstwa” (L. Ostesa zajęły na wystawie filatelistycznej z okazji 32 rocznicy zwycięstwa nad szarymi — srebrne medale. Z dużym zainteresowaniem spotkała się wystawa monet pt. „X wieków Polski”, którą zaprezentował swoim kolegom kpr. pchor. mgr A. Kempisty. Okazała prezentowała się wystawa filatelistyczna pt. „60 lat Wielkiego Października”.

Stalymi gośćmi Centrum są ludzie pióra. Kilka spotkań autorskich odbył zasłużony dla kultury polskiej pisarz i poeta, były oficer polityczno-wychowawczy, pik rezerwy Stanisław Ryszard Dobrowolski. Interesujące były spotkania autorskie w pododdziałach pik rez. Zbigniewa Filowskiego.

Bywają w uczelni pisarze łódzcy: Wiesław Jajdziński, Tadeusz Chóścielewski, Wacław Bilinski, Jerzy Wawrzak, autor pamiętników Stanisław Gajek i wielu innych.

W czasie dwóch spotkań z podchorążymi recytowali swoje wiersze wybitny poeta białoruski Maksym Tańk. Przewodniczącą Rady Kultury w pododdziałach czynią wszystko, by kontakt wojska z literaturą uczynić ciekawym i interesującym zabiegiem dydaktycznym. Udaje się to coraz bliżej a wieczory poezji i prozy o żołnierskich losach czasu wojny są coraz częstsze.

Pik dr Władysław Honkisz, komendant Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. L. Waryńskiego w Łodzi.

U PRZYJACIÓŁ

Czy planowanie w kulturze jest możliwe? Temat ten podejmuje w artykule opublikowanym przez agencję APN Iwan Cwieterk, kierownik wydziału kultury Komitetu ds. Planowania ZSRR. Autor artykułu wychodzi z podstawowego założenia, że podstawą kultury duchowej społeczeństwa jest odpowiedni poziom wykształcenia. Im jest on wyższy, tym większe są możliwości pojawiania się talentów w różnych dziedzinach twórczości.

Obecnie ponad 126 milionów obywateli radzieckich ma wyższe lub średnie wykształcenie (pełne i niepełne), zaś ostatnio wprowadzono obowiązkiowe wykształcenie średnie. Fakty te stają się odpowiednio wymowne, jeśli przypomni się, że w 1917 roku 34 ludności Rosji nie umiała czytać i pisać, a 48 narodów nie miało swego piśmiennictwa.

Przebudowa w tak krótkim, historycznie biorąc czasie, całego przestarzałego systemu edukacji, była możliwa dzięki przyjętej przez państwo radzieckie zasadzie planowania także w dziedzinie oświaty. Tym samym planowanie wkroczyło do kultury i to nie tylko w odniesieniu do kształcenia.

Potrzebne ono jest przede wszystkim w tworzeniu materialnej bazy kultury — budowie teatrów i sal kinowych, galerii sztuki, wytwórni filmowych itp. W ZSRR działa obecnie około 159 tys. szkół ogólnokształcących, 350 tys. bibliotek, około 600 teatrów zawodowych, ponad 1300 muzeów, 39 wytwórni filmowych, które tylko w latach 1971—75 wyprodukowały ponad 1200 filmów pełnometrażowych. Dzięki m. in. istnieniu tak bogatej bazy kultury w ZSRR frekwencja w kinach należy do najwyższej w świecie (statystyczny obywatel ogląda rocznie 18 filmów) i jest to także kraj o najbardziej rozwiniętym czytelnictwie.

Stąły rozwój kultury w Kraju Rad jest możliwy dzięki ogromnym nakładom jakie przeznaczają się na ten cel z budżetu państwa. W ostatnich dziesięciu latach wzrosły one dwukrotnie, osiągając w 1977 roku sumę 34,7 miliardów rubli.

System planowania nie ogranicza się tylko do dyspozycji określonych w funduszu, ale także do wpływania na rozwój różnych dziedzin kultury w skali kraju, republik i regionów. Najlepszym przykładem może być w tym przypadku planowanie rozwoju sieci szkolnictwa. Biorąc pod uwagę dotychczasowe dysproporcje między ilością i poziomem szkół w mieście i na wsi — zakłada się, że na każde pięć szkół jakie wybuduje się w 1980 roku trzy zostaną wybudowane w ośrodkach wiejskich. Zakłada się również, że będą to szkoły nowoczesne wyposażone, z doborową kadrami nauczycielską, promieniującą na cały region ognisk nauki i kultury.

Znany radziecki reżyser Andrzej Michalkow-Konczalowski pracuje obecnie nad epickim filmem „Syberia”. Wypowiadając się z tej okazji na łamach „Sowieckiej Kultury” podejmuje również problemy ogólniejsze związane ze społeczną funkcją kinematografii.

Przywykliśmy w codziennej praktyce dzielić filmy na produkcyjne, wiejskie, historyczne, wojenne i komediowe. Ale każdy z tych gatunków ma za temat losy ludzkie, stosunek człowieka do otaczającej go rzeczywistości, do świata. Niestety bardzo często o tym zapominamy. I wówczas powstają filmy o wytopie stali, o wydobyciu ropy naftowej, o ludziach w tych utworach są czymś dodatkowym, niebytnym, krótko mówiąc, nieistotnym.

Sądzę, że w sztuce filmowej najważniejsze jest zachowanie właściwych proporcji między mikro- i makroświatem, między losami jednostki i życiem całego kraju, społeczeństwa, narodu.

Postępowi twórcy na całym świecie niejednokrotnie zastanawiają się nad złożonymi problemami wzajemnego stosunku artysty i odbiorcy. Jaką drogą podążać? Czy ukrywać się za fasadą swego dzieła, czy być absolutnie szczerym? Czy autor może być obojętny wobec efektów swych prac? A jeśli nie, czy nie wymaga to naukowego, socjologicznego podejścia do widza? Ale przecież i w samej sztuce nie może być gotowych odpowiedzi. Trzeba je za każdym razem odnajdywać na nowo. I to właśnie stanowi istotę twórczych poszukiwań.

Aktualne, konkretne i konstruktywne inicjatywy Związku Radzieckiego i pozostałych krajów naszego obozu znów spotykały się z uznaniem na szerokim forum międzynarodowym: Zgromadzenie Ogólne ONZ zaaprobowало szereg rezolucji w sprawie okiełznania wyścigu zbrojeń i zmniejszenia niebezpieczeństwa wybuchu wojny jądrowej. Centralne miejsce wśród przyjętych rezolucji zajmują propozycje ZSRR. W jednej z nich znajduje wyraz głębokie zainteresowanie ONZ sprawą pomysłowego zakończenia, w możliwie najkrótszym czasie, radziecko-amerykańskich rozmów w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych, przy czym w tekście tej rezolucji wita się z zadowoleniem propozycją generalnego sekretarza KC KPZR, L. I. Breżniewa, dotyczącą jednoczesnego zaprzestania przez wszystkie państwa produkcji broni jądrowej.

Ważnym wkładem krajów socjalistycznych w dzieło zmniejszenia niebezpieczeństwa wojny jądrowej było przyjęcie rezolucji w sprawie zawarcia porozumienia o całkowitym i powszechnym zakazie prób z bronią jądrową. Przyjęto również rezolucję o zakazie opracowywania nowych rodzajów broni masowej zagłady i nowych systemów tej broni oraz rezolucję o zakazie broni chemicznej i bakteriologicznej. Z inicjatywami w tej sprawie wystąpił Związek Radziecki.

Wiadomo jednak, iż w złożonej dziedzinie odprężenia militarne nie osiągnięto jeszcze zasadniczych zmian. Nowe inicjatywy ZSRR w tym kierunku powitał z uznaniem prezydent USA, J. Carter, który od tego czasu nieomal w każdym swoim wystąpieniu, wyraża przekonanie o niedozwolności osiągnięcia postępu w dziedzinie rozbrojenia. Tyle tylko, iż ważniejsze są tu czyny niż słowa, a prezydent USA nie odpowiedział dotąd na szereg pytań, jakie postawiła mu światowa opinia publiczna, dotyczących sfery odprężenia militarne, a nade wszystko nie zajął wyraźnego stanowiska w kwestii produkcji broni neutronowej. Jest to tym bardziej istotne, iż świat jest głęboko zaniepokojony informacją, że na grunty sesji Paktu Północnoatlantyckiego osiągnięto porozumienie w sprawie cichego uzbrojenia NATO w broń neutronową zaraz po zakończeniu spotkania w Belgradzie.

W obecnej sytuacji, kiedy z jednej strony wszystkie nieomal państwa świata opowiadają się za podjęciem dalszych kroków w kierunku rozwiązania napięcia, a z drugiej strony wojskowo-przemysłowy kompleks imperializmu dąży do opracowywania i konstruowania nowych broni masowej zagłady, polityczny aspekt odprężenia jest zupełnie jasny. Ogromny postęp osiągnięty w dziedzinie politycznej powinien być umocniony i pogłębiony. Wymaga to nowych impulsów i nowych inicjatyw, przede wszystkim na drodze uzupełnienia odprężenia politycznego odprężeniem

militarnym. Na tym decydującym skrzyżowaniu dróg reakcja chciałaby narzucić ludzkości inną drogę — drogę wiodącą do balansowania na krawędzi wojny.

Te niebezpieczne plany rozwijania nowych rodzajów broni masowej zagłady, a przede wszystkim produkcji bomby neutronowej, którą tak bardzo pragnęliby potrzasać przeciwnicy odprężenia, zdecydowanie potępiają postępowe odłamy narodów świata. W Austrii, jak podaje „Volksstimme” zebrano kilka tysięcy podpisów pod petycją potępiającą zamierzoną produkcję bomby neutronowej. Akcję tę prowadziła Austriacka Rada Pokoju przy aktywnym poparciu licznych społecznych organizacji działających w tym kraju. Żądania austriackiej opinii publicznej przekazano prezydentowi USA. Podobną rezolucję z żądaniem zakazu produkcji bomby neutronowej podpisało kilkanaście tysięcy Szwajcarów. Rząd Szwecji jednoznacznie wypowiedział się przeciwko produkcji bomby neutronowej i za zwiększeniem wysiłków w walce przeciwko wyścigowi zbrojeń. W An-

neutronowej. I nie tylko dlatego, że niszczy ona wszystko, co żyje, pozostawiając w stanie nienaruszonym dobra materialne, i nie tylko dlatego że najpełniej demonstruje wzajemne powiązania między zyskiem i niską ceną ludzkiego życia, ale dlatego przede wszystkim, że atomowa apokalipsa przekształca się w środek do osiągnięcia politycznych celów. Nic dziwnego, że nowa broń pobudziła do życia na naszej planecie nowy front walki politycznej między tymi, którzy bronią życia, a tymi, którzy grożą, iż zetrą je z powierzchni ziemi.

Działacze polityczni krajów socjalistycznych wraz ze wszystkimi siłami realnie myślącymi i milującymi pokój nieustannie wskazują, że polityka pokojowego współistnienia nie ma alternatywy możliwej do przyjęcia. Tymczasem Bundestag RFN jest pierwszym europejskim parlamentem, który zajął określone stanowisko wobec broni neutronowej. W ramach dyskusji w sprawie obrony, przedstawiciele frakcji CDU i FDP wypowiedzieli się za włączeniem broni neutronowej do arsenału NATO i roz-

ROZBROJENIE — KLUCZOWY PROBLEM WSPÓŁCZESNOŚCI

gli 90 proc. działaczy politycznych społecznych, a wśród nich także opusztowani do parlamentu, biskupi w Birmingham i Ipswich, a także tysiące członków związków zawodowych podpisało petycję, w których żądają zakazu produkowania bomby neutronowej. W ponad 40 miastach RFN odbyły się masowe demonstracje, protestujące przeciwko produkcji bomby neutronowej. Zjazd SPD, po burzliwej dyskusji opowiedział się przeciwko rozmieszczeniu broni neutronowej na terytorium RFN. O masowych demonstracjach, podpisywaniu petycji i innych formach protestu przeciwko produkcji bomby neutronowej donosiła agencja prasowa z USA, Kanady, Japonii, Indii, Egiptu, Peru, Iraku i z wielu innych krajów.

W tym ogólnoswiatowym ruchu protestu wiodącą rolę odgrywają wybitni uczeni na czele z prezydentem Ogólnoswiatowej Federacji Pracowników Nauki, E. Europem, z Wielkiej Brytanii i rektorem uniwersytetu w Lizbonie, L. Gomezem. 250 wybitnych uczonych z 70 krajów zwróciło się do światowej opinii publicznej z apelem, w którym wskazują na niebezpieczeństwo kontynuowania wyścigu zbrojeń i produkcji bomby neutronowej. Jeszcze szerszy międzynarodowy charakter w walce z planami produkcji bomby neutronowej będzie miał zjazd zwołany na 18 marca br. w Amsterdamie z inicjatywy grupy holenderskiego ruchu pod nazwą „Prez z bombą neutronową”. W rzeczy samej, ta kampania protestu przeciwko planom Pentagonu, rozpoczęcia produkcji głowic neutronowych od rakiet „Lance” i rozmieszczenia ich w Europie, ma już dziś zasięg ogólnoswiatowy.

Najczarniejsza strona systemu imperialistycznego znajduje swoje najbardziej dobitne potwierdzenie w planach opracowania produkcji broci

mieszczaniem jej na terytorium Republiki Federalnej. Jak widać z tego, wyraźnie zaktualizowały się — ignorując liczne protesty opinii publicznej przeciwko broni neutronowej — przede wszystkim te siły, które, pomijając problemy ograniczenia zbrojeń i rozbrojenia, dają pierwszeństwo nieodpowiedzialnej i nihilistycznej polityce dążenia za wszelką cenę do wstępowo-politycznego sojuszu z USA. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż broń neutronowa jest pomysłem nie tylko jako podstawa nowej wojskowo-strategicznej i politycznej koncepcji Pentagonu. Znajdując się w rękach Amerykanów staje się ona instrumentem dalszego podporządkowania zachodnioeuropejskich partnerów NATO wskazówkom USA.

Zadaniem tej nowej broni ofensywnej jest stwarzanie komplikacji na drodze rozmów w sprawie kontroli zbrojeń. Tym też jest podyktowane pozycja krajów NATO na rozmowach w Wiedniu, gdzie żądają one naruszenia zasady równego bezpieczeństwa krajów i jednostronnych militarnych korzyści.

Wyścig zbrojeń, jaki rozkręcają kraje należące do NATO, otwiera przede wszystkim ogólnoswiatowej tendencji do odprężenia. Rozbrojenie jest kluczowym problemem współczesności. Manifestacje, na których miliony ludzi prac w wielu krajach świata żądają zahamowania wyścigu zbrojeń, zakazu produkowania broni masowej zagłady, w tym także bomby neutronowej, rozładowania międzynarodowego napięcia, utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa, rozbrojenia i współpracy wskazują, iż problemy te są nie tylko sprawą dyplomatów i polityków, lecz także wszystkich ludzi i każdego człowieka z osobna.

JERZY CZECH

(C)

■ GŁOS PARTII ■ KRYZYS WE WŁOSZACH ■ KRUCHE PODSTAWY

Sytuacja wewnętrzna kraju ma także swoje uwarunkowania zewnętrzne. Jest więc zrozumiałe, że na II Krajowej Konferencji PZPR była również mowa o polityce zagranicznej Polski i najważniejszych problemach międzynarodowych. Tym zagadnieniom poświęcono był obszerny fragment w referencji Biura Politycznego, który wygłaszał Edward Gierk — obecny premier — w sprawie dotychczasowych wyników i aktualnych zadań partii w realizacji uchwał VII Zjazdu PZPR.

Polska ma mocną pozycję międzynarodową. Wypracowaliśmy ją m. in. swą aktywnością — pokojowymi propozycjami, wspieraniem wszystkich inicjatyw, służących bezpieczeństwu narodów, rozległymi kontaktami i partnerską współpracą. Tylko miniony rok — przypomnijmy to — przyniósł nasz liczący się udział w przygotowaniu, a potem zasadniczej dyskusji w Belgradzie, w inicjowaniu i opracowaniu rezolucji w ONZ, przyniósł liczne dialogi na najwyższym szczeblu, dwustronne układy, oświadczenia i porozumienia, uwzględniające zasady Aktu Końcowego KBWE.

Na świecie ukształtowała się — by

powtórzyć za Edwardem Gierkiem — „wielka koalicja pokoju”, której istnienie przesądza o odprężeniu. W Europie stało się ono tendencją dominującą, choć wciąż nie zaniechali swej działalności jej przeciwnicy.

Niestety, ciągle jeszcze pokój nie ma trwałych podstaw w rozbrojeniu. Wyścig zbrojeń nie został zahamowany, a nawet więcej — podejmowane są obecnie próby dalszego jego eskalowania przez wprowadzenie do produkcji nowych rodzajów broni masowej zagłady i wyposażania w nią armii. Stanowczo się temu sprzeciwiamy i popieramy radziecką propozycję zakazu broni neutronowej.

W pełni podzielamy też opinie Leonida Breżniewa, że czas najwyższy przejść od rozmów na temat rozbrojenia do faktycznego rozbrojenia. Czynnikiem destabilizującym sytuację międzynarodową jest brak nałaf trwałych, pokojowych rozwiązań na Bliskim Wschodzie. Można je wypracować w sposób kompleksowy tylko na genezy i każdej z nich każde działania ją opóźniające (jak np. próby separatystycznego porozumienia) szkoda pokojowi w tym rejonie świata.

II Konferencja PZPR wypowiedziała się w najważniejszych dla pokoju sprawach, potwierdziła słuszność polskiej polityki zagranicznej i stwierdziła, iż nadal nie będziemy ustawać w wysiłkach, aby rozwijało się odprężenie, stabilizował pokój, wzrastało bezpieczeństwo narodów i umacniała międzynarodowa współpraca.

A teraz odnotujmy dwa z wyłączeń zagranicznych minionego tygodnia.

Szczególną uwagę komentatorów zwraca sytuacja we Włoszech. W ciągu ostatnich kilku dni nasiliła się niebezpiecznie fala terroryzmu i doszło do krwawych starć z siłami ekstremistycznymi. Jednocześnie, w chwili, kiedy piszemy ten komentarz, jest prawie pewne, że premier Andreotti zgłosi dymisję swego gabinetu. Komuniści, socjaliści i inne mniejsze partie domagają się zmiany formuły rządowej przez zastąpienie gabinetu mniejszościowego gabinetem jednolitym. Wówczas w jego skład weszłyby także ministrowie komunistyczni. W obawie przed taką ewentualnością Departament Stanu USA złożył oświadczenie, wyrażające sprzeciw Waszyngtonu co do możliwości wejścia komunistów do rządu we Włoszech lub jakimkolwiek innym kraju zachodnim.

Przykład techniki oczerniania

Harold Wilson, były premier rządu Wielkiej Brytanii, przekazał do publikacji treść swego wystąpienia przed członkami królewskiej komisji do spraw prasy. Mówi się w nim m.in.:

„Występując w Portsmouth 24 września 1974 roku, w dwa dni po moim oświadczeniu o powszechnych wyborach do parlamentu, które miały się odbyć 10 października tegoż roku, uznałem za konieczne złożyć następujące oświadczenie o postępowaniu prasy w okresie kampanii wyborczej. Konsekwencje wyborów są bardzo poważne i dlatego też należy skrupulatnie unikać wszelkich osobistych nieporozumień. Tendencja ta wzbudza szczególne zaniepokojenie w świetle rozgłębionej na stronach gazet kampanii oszczerstw, która nie miałaby tak niebezpiecznego charakteru, gdyby nie zbliżające się wybory do parlamentu. Fleet Street jest miejscem do którego nieustannie napływają przeróżne plotki i historyjki. W ciągu całego lata ja i moi koledzy otrzymywaliśmy liczne ostrzeżenia, że w gazetowym świecie trwa intensywna akcja mająca na celu przygotowanie sensacyjno-demaskatorskich materiałów, które na razie trzymamy w tajemnicy, ale które będą opublikowane, kiedy kampania wyborcza osiągnie punkt kulminacyjny. Z polecenia swoich redaktorów, najlepsi dziennikarze przeczyszczyli najbardziej odległe rejony kraju, żeby zebrać fakty, prawdziwe lub wysrane z palca, które można by użyć przeciwko partii laburzystowskiej.

Brytyjska prasa w swojej większości przejawia tendencyjną wrogość wobec partii laburzystowskiej. Stopień tej wrogości zmienia się od czasu do czasu, w zależności od tego, czy laburzyści znajdują się u władzy, albo też od tego, czy przed laburzystami pozostający w opozycji otwierają się perspektywy odniesienia zwycięstwa w kolejnych wyborach parlamentarnych. Działalność jaką podejmują niektóre organa prasowe, a w szczególności „Daily Express” i „Daily Mail”, w stosunku do przywódców partii laburzystowskiej wydaje mi się naruszeniem nawet najbardziej ogólnych zasad przyzwoitości, które powinno się przestrzegać na Fleet Street. Przykład techniki oczerniania laburzystów zademonstrowała „Daily Mail” jeszcze w listopadzie 1964 roku, w miesiącu po tym, gdy po raz pierwszy zostałem premierem. Gazeciarze zryli wtedy kosze ze smieciami w rezydencji rządowej i jako sensację podali informacje o znalezieniu tam mnóstwa butelek po szampanie. Akurat w przeddzień odbyło się przyjęcie, zaplanowane jeszcze przez poprzedni rząd, na cześć angielskich uczestników olimpiady w 1964 roku. Korespondent „Daily Mail” przyszył nazurty rano i poprosił smieciarzy o pozowanie im do zdjęć i wypicie resztek szampana wprost z butelek. Zdjęcia te, z odpowiednim tekstem, pojawiły się na centralnych kolumnach „Daily Mail”. Nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z członków konserwatywnego gabinetu był obiektem podobnych napaści.”

Oświadczenie b. premiera Wielkiej Brytanii potwierdza fakt, iż ofiarą tzw. wielkiej prasy w krajach kapitalistycznych są nie tylko całe społeczeństwa, lecz także, a nawet głównie, przywódcy partii politycznych, których działalność jest niewygodna dla najbardziej reakcyjnej i zamożnej części wielkiej burżuazji.

Ta bezprecedensowa próba ingerencji w wewnętrzne sprawy spotkała się we Włoszech z ostrzymi reakcjami. Ocenia się ją jako usiłowanie wpłynięcia na bieg wydarzeń, które muszą nastąpić, gdyż obecny rząd nie ma propozycji wyjścia z dotkliwego kryzysu.

Tymczasem z Lizbony napłynęły informacje, które mogą wskazywać, że dobiega końca 5-tygodniowy już kryzys rządowy w Portugalii. W myśl tych informacji osiągnięte zostało porozumienie między Partią Socjalistyczną, która dotychczas sama pozostawała przy władzy, a konserwatywno-chadeckim Centrum Demokratyczno-Społecznym (CDS). W ten sposób powstałby rząd większościowy.

Jeszcze to nie nastąpiło, a już w lizbońskich kołach politycznych słyszy się rozważania, jak długo może przetrwać ta koalicja. Wielu obserwatorów nazywa ją „sojuszem wbrew naturze”, podkreślając, że kruche są podstawy porozumienia. Trzeba bowiem w tym miejscu wyjaśnić, że Centrum reprezentuje praktycznie parlamentarną, jednakże gdzieś od pół roku zaczęło zajmować wobec socjalistów dość umiarkowaną i elastyczną postawę. Czy to wystarczający powód — zastanawiają się obserwatorzy — dopuścić CDS do udziału w rządzie?

W. SŁAWSKI

ROZDANO KARTY

Los rękami wnuczka preza FIFA rozdał karty wstępu na argentyńskie stadiony. Wszystko już wiadomo, kto jaki ma numer, z kim gra i kiedy, do jakiej grupy należy. Położono tym koniec wszelkim spekulacjom. Ręce wnuczka prezesa FIFA były dla jednych szczęśliwe, a dla innych — nie.

My mamy powód do radości. Wiadomo było od samego początku, że musimy spotkać się z kłopotem z silniejszymi drużynami. Wnuczek prezesa FIFA przydzielił nam od razu drużynę RFN, mistrza świata. I bardzo dobrze. Była trzeba brać za róg. Później już wnuczek prezesa FIFA był bardziej laskawy: przydzielił nam jako rywali zespoły piłkarskie Meksyku i Tunezji. Jak to określili komentatorzy holenderscy — te zespoły leżą w możliwościach polskich piłkarzy. Znaczący to, że możemy je pokonać.

W znaczeniu gorszej sytuacji znaleźli się bracia Węgrzy. Im bowiem wnuczek prezesa FIFA przydzielił silną i trudną grupę. W tej grupie zdarzyć może się wszystko. Trudno to cokolwiek przewidzieć. W ogóle trudno cokolwiek przewidzieć, chociaż zarówno piłkarscy kibice, jak i komentatorzy sportowi zajmujący się tą dziedziną sportu bardzo lubią sobie pomarzyć i powróżyć.

Zachodniomiejscowa agencja prasowa przeprowadziła ankietę — na tydzień przed losowaniem do Mistrzostw Świata w Argentynie. Każdy z trenerów drużyn występujących w Argentynie przedstawiał swoje typy najsilniejszych i tych kogo uważa za najsłabszych rywali. Od razu powiem, Jaśek Gmoch na zwycięzcę nikogo nie typował, przyznając się, że nie ma jeszcze swego typu, a za najsłabszych rywali uznał zespoły: RFN, Argentynę, Brazylię i Włochów. Zdania trenerów 18 zespołów, które awansowały do argentyńskich rozgrywek były podzielone. Niektórzy podobnie jak Jaśek Gmoch przyznawali się, że nikogo jeszcze nie typują na zwycięzcę, inni mówili o Argentynie, Holandii, RFN i Brazylii. Boją się trenerzy tych samych, a więc faworytów. Dodają do tego jeszcze Włochów i badając raz Skotów. Nikt natomiast nie boi się nas, czyli polskiej jedenastki piłkarskiej. Trener zespołu meksykańskiego boi się najbardziej: Brazylię, Argentynę, Włoch i Holandii. Trener zespołu RFN uważa za najsłabszych rywali: Holandię, Włochy, Hiszpanię i Szkocję. Trener zespołu tunezyjskiego, za rywali groźnych uznał: Brazylię, Argentynę i Holandię. Polskiego zespołu nie boi się nawet trener Iranu.

Wszystkie te wróżby to nie innego jak taka sobie zabawa. Można ją traktować poważnie, można nie sobie z tych wszystkich opinii i przewidywań nie robić. Ale jedno w tej zabawie jest istotne. Mistrzostwa Świata w piłce nożnej, które w połowie 1978 roku odbędą się w Argentynie, będą miały zupełnie inny charakter niż poprzednie. Jest to oczywiste. Ale nie dla wszystkich. Niektórzy kibice, pomni sukcesu z Monachium, posunęli się dalej niż wnuczek prezesa FIFA i rozdał już karty do półfinału. Uważają oni, że skoro wygranie z Tunezją i Meksykiem leży w naszych możliwościach, to nawet przegrana z drużyną RFN daje nam awans do półfinału. Sprawa załatwiona. Awans mamy w kieszeni.

Kibice może sobie spekulować. W końcu to jego prawo i rola. Kibice emocjonują się swoją drużyną i marzą o jej sukcesie. Ale chyba nie do końca, gdyby taką postawę przyjęli piłkarze i działacze piłkarscy. W czasie transmisji z losowania cieszono się powściązanie z przychylności wnuczka prezesa FIFA, który wylosował dla Polski przyzwoitą grupę. Jaśek Gmoch jest przykładem zdania, że należy wybrać sobie najtrudniejszą, wtedy rzeczywistość nie wydaje się taka fatalna. Jest to jakaś metoda. Słusznie się więc cieszą, bo mogłoby być gorzej. W tej radości jednak posunęli się — moim zdaniem trochę za daleko — bo oto parę osób rozdało już nie tylko karty półfinałowe, ale również paszporty do Argentyny, wyręczając w tym trenera Jaśka Gmocha. O ile bowiem mi wiadomo, to żaden piłkarz kandydujący do reprezentacji nie ma jeszcze paszportu w kieszeni. Natomiast Jan Ciszewski i inni traktowali wyjazd Kazimierza Deyna do Argentyny jako pewnik.

Rację miał Leszek Jezierski, że losowanie losowaniem, przychylności wnuczka prezesa FIFA przychylności, a do rozgrywek argentyńskich trzeba solidnie się przygotować, bo tylko to będzie się w rezultacie liczyło i tylko od dobrego przygotowania zależy będzie nasze powodzenie w Mistrzostwach Świata w 1978 roku. Przykład drużyny portugalskiej, która zaskoczyła nas na koniec grupowych eliminacji swoją dobrą grą, powinien stanowić moment dla całego okresu przygotowań, bo do gry przygotowywać się będzie 16 drużyn. I każdej marzyć się będzie zwycięstwo najpierw nad przydzielonymi przez wnuczka prezesa FIFA rywalami, później. Przez te pół roku, które dzieli nas od rozpoczęcia gry na Mundial 78, niektóre drużyny mogą tak się zmienić, że ich rywale będą tym zdumieni. Wniosek stał prosty: skończyły się zabawy w spekulacje, zaczął się okres ciężkiej pracy. Dla piłkarzy oczywiście.

BOGDĄ MADEJ

EDWARD KOPCZYŃSKI

MIŁOŚĆ I MEDYCZYNA

Od paru miesięcy posiłki w domu były męczącą ceremonią. Chyba dla wszystkich. Dla Barbary, dla dzieci, dla niego. Ale tak chciała Barbara. Dopóki jesteś w domu, nie tu nie zmienię. Siedzieli więc przy wspólnym stole, podawali sobie talerzyki, świadczyli uprzejmości. Tylko słów było mało, najkonieczniejsze...

Dzieci były po stronie matki. Jakżeby mogło być inaczej. Gonili przez wiele lat z jednej pracy do drugiej, by zaspokoić potrzeby rodziny, dzieci widywali wieczorami, zmachany często jak dorożkarski koń. Kiedy byli małe, chcieli się bawić — nie miał sily. Kiedy byli większe, chcieli rozmawiać — po całym dniu harówki rozmowy z dziećmi nie bawily go wcale. Kiedy wydorosli, stracili z nimi kontakt. Nie szukały jego rady, pomocy, bo zapomniały, że ojciec albo nie ma czasu, albo jest zmęczony. Wychowując dzieci przez sześć lat Barbara nie pracowała. Miały w niej czułość i troskliwą matkę, opiekunkę, powiernicę — dzieci to pamiętają...

Z synem Andrzejem próbował odnaleźć kontakt cztery lata temu. Przynaglała Barbara. Kupił wtedy książkę „Miejszy nami mężczyźni” i na wakacjach nad morzem, w czasie wspólnego spaceru, wręczył ją synowi. Pamięta, że w czasie tamtej rozmowy, właściwie monologu, bo Andrzej prawie wyłącznie słuchał, czuł się bardzo głupio, tak jakby ktoś ni stąd, ni zowąd kazał mu sprzedawać baloniki na ulicy. Czuł się głupio i podle. Sportyści chyba właśnie wtedy, że jego szesnastoletni syn to właściwie obcy człowiek. Szedł posłusznie obok, nie patrzył na ojca i niby słuchał, ale diałoli wiedzą, czy naprawdę tak by o. A on się wtedy wygłupiał. Mówił coś w tym sensie: Wiesz Andrzej, za parę miesięcy skończysz szesnaście lat. Szesnaście lat to niby jeszcze dziecko, ale właściwie już nie dziecko. Szesnaście lat przy twojej budowie, twoim wzroście, wadze i całym rozwoju, jako lekarz wiem coś o tym, czyni cię już młodym mężczyzną. (Piłkarem, dlatego Barbara wlepiła mi ten obowiązek). Właśnie jako młody mężczyzna powinieneś o pewnych sprawach wiedzieć. Zawsze jest lepiej dowiedzieć się o takich sprawach od ojca, niż od kolegów. Nie sądzisz? — Andrzej nie sądził. — Otóż widzisz — płał się wtedy — chodząc do szkoły koedukacyjnej, są tam dziewczęta, różne dziewczęta, może ci się nawet która podoba? — Ciesz. — Mniej za z tym, czy ci się która podoba czy nie, dziewczęta są po prostu obok ciebie. Te dziewczęta to późniejsze żony, matki, a ty wkraczasz powoli w wiek męski. Piękny wiek, ale niebezpieczny... Jeżeli mógłbyś ci radzić, byłoby dobrze, gdybyś poznał tych spraw, no, koleżanek, kobiet (choć, a, co za męka) odożył na dwa, trzy lata. Na dwa, trzy, a nawet pięć, to ci wcale nie zaszkodzi, wręcz przeciwnie, pozwoli ci to świetnie się rozwinąć... i po męsku, prawdziwie przeżyć to pierwsze (do diabła, jakiego użył słowa)... zbliżenie do partnerki, no, tej dziewczyny, z którą się to stanie. — Nabral powietrza, jak pływak, który ma skoczyć z dużej wysokości do wody i ciągnął: — Musisz wiedzieć również, że są choroby. Wewnętrzne choroby. Słyszałeś o nich? (Brak odpowiedzi). A więc są: kłótnie, rzęząca. Nie mówię ci o tym dlatego, żeby cię nastraszyć, ale żeby przestrzec. Właściwie dzisiaj, przy nowoczesnych środkach leczenia, antybiotykach, nie ma się czego bać (co za bzdury plotę), bo nawet kłótnie, najgroźniejsza choroba, wczesnie i do końca leczona nie zostawia żadnych śladów, ale należy się pilnować. Tak musisz się pilnować, synu. To znaczy, nie zbliżać się do przypadkowo poznanych dziewcząt, no, (cholera jasna) wiesz, trzeba unikać zbyt łatwych dziewcząt. W ogóle musisz mieć noś, musisz myśleć, czasem lepiej zrezygnować, niż narazić się na chorobę. Chciałbym cię prosić, Andrzej, (świetna myśl) abys przy jakichkolwiek kłopotach w tych sprawach, no, w tych naszych męskich sprawach, szukał rady u ojca. Wal do mnie jak w dym, co, dobrze powiedziane? (Ciesz) Zerkał na syna. Szedł obok i patrzył przed siebie. Zanim się zastanowił, zapytał jak lekarz. Polucje masz? — Mam. (Pierwsze słowo syna).

— Inteligentny chłopak — pomyślał — wcale nie potrzebowałem tłumaczyć. — Zaraz dorzucił: — Jak często? — Czasem, może raz na miesiąc. Wszystko w porządku, Andrzej, to nie zło, to w twoim wieku naturalne... Piłki wtedy, męcząc się jeszcze bardziej, powtarzał się, wreszcie węc, czył synowi książkę z prośbą, by ją

prze czytał. — Jak przeczytasz, to znów sobie pogadamy. — Nie pogadali sobie jednak. Andrzej książkę wziął, ale zapytany o nią raz, drugi, trzeci, odpowiadał zawsze, że nie miał dotąd czasu...

Z tego uświadamiania syna zdał sprawę Barbarze. Patrzyła na niego z dezaprobatą i oświadczyła:

— To delikatna sprawa, a Andrzej jest bardzo wrażliwy. Na pewno wybrałeś zły moment.

— Zły moment. Wieczór, spacer i ojem, wakacje.

— Propozycja spaceru mogłeś Andrzeja przestraszyć.

— Barbaro!

— Zartuję, ale ta propozycja na pewno Andrzeja zaskoczyła. Zbyt mało czasu masz dla dzieci, nawet tutaj, w czasie odpoczynku.

— Jestem bardzo zmęczony.

— Staramy się nie przeszkadzać ci. Chcąc uniknąć dalszej rozmowy w tym tonie zażartował:

— Kiedyś, w dobrych domach, dla uświadamiania syna matka brała przystojną służącą. W najgorszym razie placilo się odszkodowanie. Sto rubli, tysiąc złotych lub dwie, trzy morgi ziemi.

— To nie było nawet głupie.

— Dla mnie podle i nieudzielkie.

— Ale w miarę bezpieczne. Nie musiałabym wciąż się niepokoić.

— Mówisz głupstwa, Basiu.

— Jak zawsze, ja mówię głupstwa. A ty nie potrafisz nic porządnie załatwić. Dzieci są koło ciebie, ale nie masz dla nich serca, nie rozumiesz ich zupełnie. Wiem, wiem, uświadamiałyś Andrzeja na swój sposób...

To „na swój sposób” miało w ich życiu określone znaczenie. Zawsze będzie miało znaczenie, bo Barbara nigdy nie zapomniał, nie wybaczył. Jest uparta jak...

Barbara nie ukrywała swoich uczuć. Patrzyła na niego źle, oczy, słowa padały z zacienionych ust. Czy to, co się stało z nimi, musiało się stać? Czy dwadzieścia trzy lata małżeństwa mogły zamienić miłość w nienawiść? Tak, nie wolno bać się słów, taka jest prawda. Barbara nienawidzi go, a on po prostu ma jej dosyć... Kto ponosi za to winę? On czy Barbara? Ileż razy szukał w ich życiu, w jej i w swoim postępowaniu spraw, zdarzeń, ludzi, tego wszystkiego, co mogło mieć wpływ na dzień dzisiejszy, na to, co zrobili ze swoim życiem. Szukał, wciąż szukał i przecież szuka jeszcze, w każdej wolnej chwili, w pracy, w domu przy swoim biurku, w samochodzie, na ulicy, bo przecież z domem, z Barbarą, z dziećmi nie rozstaje się ot, tak sobie, nie odchodzi od ludzi, których spotkał w domu wczasowym, w podróży...

Dzieci spały już, a on siedział naprzeciw Barbary i po raz drugi powtórzył:

— Chcę uzgodnić z tobą ostatecznie, co stąd mogę zabrać.

Dodał cicho:

— Od pierwszego zmieniam pracę, wyjeżdżam.

— Szczęść Boże na nową drogę.

— Barbaro, nie jest mi wcale łatwo. Nie utrudnijmy sobie życia.

— Masz to, do czego od dawna zmierzalas.

— Zapominasz, że takie rozwiązania nie ty wielokrotnie proponowałeś.

— Mówiłam o tym, owszem, wiele rzeczy się mówi, ale nie powiesz chyba, że ja podsunęłam ci tę... tę lafiryndę.

— Barbaro!

— Tak. Lafirynda i dziwka. Zadała porządna kobieta nie zwiabiaby się z żonatym mężczyzną. Z mężczyzną, który ma obowiązki wobec dzieci.

— Nie uchylam się od obowiązków — Mam dosyć tej twojej wspaniałomyślności, nie robisz nikomu i ani, sąd zaoba o prawa dzieci.

— To jest zrozumiałe, będę lożył na ich utrzymanie, nigdy nie myślałem inaczej.

— Jakis ty dobry, gdyby ktoś cię słuchał, domyślałby, że tobie dzieje się krzywda.

— Barbaro, nie wracajmy do tych spraw, po co się znów szarpać. Zepsulo się coś między nami, jesteśmy ze sobą jak ludzie mieszkający w tym samym hotelu, na zewnątrz zachowujemy jeszcze pozory, ale wewnątrz, ani ja nie mam już sily, by żyć tak dalej. — Michał zamilki na chwilę, potem mówił z goryczą: — Od paru lat przy każdej okazji mówiłaś o rozwodzie. W ubiegłym roku nie było miesiąca, byś mnie tym nie kłula w oczy. Wmówiłaś mi to rozwiązane, taka jest prawda, ale prawda jest również, że teraz i ja tego chcę.

Ustaliśmy wspólnie, że winę za rozkład małżeństwa ja biorę na siebie, ale nie musi babrać się w naszym

życiu, powiem to, co w tej chwili jest prawdą, że kocham inną kobietę.

— Tego nie powiesz.

— Nie rozumiem cię, tak przecież ustaliliśmy.

— Ale zmieniłam zdanie.

Michał uczył pulsowanie krwi w skroniach, czyżby coś się zmieniło, czyżby to była próba...

— Zmieniłaś zdanie?

— Tak. Wniesziesz sprawę od siebie, ale podasz, że i ty, i ja chcemy się rozejść. — Oczy Barbary pały ja kimś dziwnym blaskiem. — Podasz również, że powodem naszej decyzji jest niezgodność charakterów, o tej... o tej swej miłości nie wspomnisz ani słowa.

— Nie wiem, czy tak można, nie wiem, czy to wystarczy do rozwoju.

— Musi wystarczyć.

— Nie chcę, byś się czymkolwiek obciążała.

— Znowu jesteś wspaniałomyślny i gruboskórny, jak zawsze. Wolisz postawić mnie w sytuacji korzystniejszej, ty zwinileś, a ja bylam tak głupia, że pozwoliłam się okraść jakiejś tam pierwszorzędnej z brzegu, jakiejś tam...

— Basiu!

— Nie bój się, nie nazwę tej pani tak, jak na to zasługuje... Chcesz mieć rozwód, będziesz go miał, ale na moich warunkach. — Uśmiechała się złośliwie. — Dziwię ci się, bo przecież powinieneś być zadowolony, małżeństwo chce się rozejść, bo stał się sobie obcy. Sąd będzie miał łatwą sprawę, dwoje dorosłych ludzi w stałym wieku, z wyższym wykształceniem, ma siebie dosyć i prosi sąd o formalne rozdzielenie ich. Sąd daje wtedy rozwód bez orzekania winy. Czy może być coś prostszego?

— Chyba nie — szepnął mimo woli.

— A teraz wracajmy do sprawy, chciałeś coś uzgodnić. Słucham twoich propozycji? — Barbara znowu miała ściągnięte usta.

— Chciałem zabrać trochę rzeczy.

— Co przez to „trochę” rozumiesz?

— Myślałem o osobistych rzeczach, o ubraniach, koszułach...

Barbara wstrząsła ramionami.

— Zrozumiałe, że to jest twoje.

— Chciałem jeszcze...

— Słucham cię uważnie.

— Lubię swoje biurko, fotel...

— Co jeszcze?

— Chciałem zabrać „Polowanie i o kietka”, swoją bibliotekę medyczną, broń myśliwską, samochód.

— Sporo tego.

— Nie zostawiam ci mniej. Zgadzasz się na ten podział?

— Dokąd wyjeżdżasz, gdzie masz tę nową pracę? — Tu głos Barbary niespodziewanie złądniał.

— Nowy ośrodek zdrowia, sto kilometrów stąd, od pierwszego czerwca będzie tam nowe województwo — odrzekł zdziwiony, że Barbarę to interesuje.

— Ta twoja... ta twoja primadonna też tam będzie?

— Będzie.

Barbara chwilę przyglądała mu się uważnie, potem powiedziała wolno:

— Wiesz chyba o tym, kiedy stąd wyjedziesz, stanie się rzecz nieodwracalna.

— Barbaro, przecież to jest już za nami, za parę dni sprawa będzie w sądzie, za twoją zgodą. Chciałaś tego ja tylko za nas dwoje podjąłem decyzję.

— Nie zatrzymuję cię. — Barbara podniosła się. — Możliwie szybko zabierz rzeczy, o których mówiłeś. — I poszła.

Od pewnego czasu źle spał. P obował czytać „Wiadomości Lekarskie”, jakąś powieść, ale nie potrafił się skupić. Słuchał więc muzyki, dzienników, ciał papierosy. Wciąż rozmyślał. Ciekawe, mniej myślał o przyszłości, o tym, co go czeka w nowym miejscu pracy, o tym, jak mu się ułoży życie z Krystyną, a więcej o tym, co było.

Przeglądał swoje życie jak album, patrzył na sprawy z odległości czasu, szukał błędów, uwarunkowań, bo chcę dojść do prawdy, chcę postawić diagnozę... Zawsze, jak długo pamięta, do sporów, kłótni — często bardzo nieprzyjemnych i obraźliwych dla obu stron — dochodziło, jak to się zwykło mówić, z niczego, z byle powodu. Wystarczyło na przykład, że kąpiąc się wylewał trochę wody z wanny na posadzkę w łazience. Barbara dawała to okazje do uwag na temat jego balaganiarstwa i jej trucu włożonego w utrzymanie czystości w domu. Nie zawsze wystarczało mu cierpliwość, by spokojnie słuchać. Mówił więc: — Basiu, przywiązujeś zbyt dużą wagę do drobiazgów, wytrę posadzkę. — Wiem, jak wytrzeć. Mogłbyś raz wreszcie nauczyć się porządku. — Porządek, Barbara miała chyba bliźka na tym punkcie, ale to jej sprawa. Brał sierkę i wycierał posadzkę. Dobrze wycierał. Ale ona robiła to po raz drugi, po swojemu. Mówił wtedy: — Skarżysz się, że jesteś zmęczona, wcale się nie dziwię, bo przesadzasz. — Od słowa do słowa dochodziło do sprzeczki, bo przy podobnych okazjach Barbara lubła wtrącić, że zamilowanie do porządku wynosi się z domu. Nie znosił, kiedy wymawiała mu jego dom. Nie musiał się wstydić ani swego domu ani swych rodziców. Dom, z którego wyszła Barbara, nie był w niczym lepszy. Zgadzał się, że zamilowanie do porządku należy wynieść z domu, ale natychmiast dodawał, że z domu należy wynieść przede wszystkim rozum i poczucie rzeczywistości. — Wiadomo, wszystkie rozumy ty zjad-

leś — mówiła wtedy — tylko ty masz poczucie rzeczywistości. To dlatego nie widzisz, że urabiam sobie w tym domu ręce i nogi. Jeżeli nie umiesz mi pomóc, to szanuj chociaż moją pracę. — Pozornie słusznie, ale ton głosu, gesty Barbary, były nie do przyjęcia, wyprowadzały go z równowagi. — Do diabła, nie pracując można sobie chyba poradzić w dwupokojowym mieszkaniu, wyposażonym we wszystko, co potrzebne. — Poirytowany dawał przykład, ta i ta koleżanka pracuje, ma również dwoje dzieci i zawsze jest zadowolona, bo potrafi pracę zawodową i domowe obowiązki pogodzić, rzecz polega tylko na organizacji. — Weź sobie w takim razie te koleżankę i daj mi święty spokój...

Rozumiał doskonale, że praca w domu jest niewdzięczna, absorbująca, pozornie bez efektu, bo przecież krzątając się po mieszkaniu i spełniając codziennie dziesiątki tych samych lub podobnych obowiązków — ścieranie kurzu, zamiatanie, przygotowywanie posiłków, sprzątanie po posiłkach — niczego w domu nie zmieniała, nie pomnażała ich dorobku, utrzymywała go tylko w należytym porządku. Forzdek, porządek... Porządek w domu pamiętał, by koszule połóż w szafie na właściwej półce, buty ustawie we właściwej przegrodce wieszaka, krawat powiesił na specjalnym drążku. Nie zawsze miał sily na to wszystkie — jego zdaniem — drobiazgi.

Barbara nigdy nie rozumiała jego pracy, jego obowiązków. — Co wy tak narzekacie? Posłuchaj ludzi w tramwaju, w autobusie, to się trochę dowiesz. Służba zdrowia, wielkie słowa, a chorzy, dla nich przecież jest szpital, mają was po dziurki w nosie. Czekają przed gabinetami w kolejkach, z numerkami w rękach, a panów lekarzy jeszcze nie ma. Przychodzą wreszcie i zaczynają od herbatki! Kiedy chory dostanie się przed ołcie pana doktora; to ten załatwia go jak z łaski. Posłuchaj, popuka, coś zażyczy, a przezwanieta kieruje do specjalisty. Tam znowu numerki, znowu kolejka, święte życie, tak, święte życie...

Nie powinna tak mówić, była kobietą wykształconą, inteligentną i na tyle znała jego pracę, by tej tramwajowej opinii nie ugodzić. Prawda, nie opowiadał zbyt dużo o swojej pracy, nie mówił o codziennych kłopotach, o trudnych przypadkach, o stosunkach z przełożonymi, z kolegami. Uważał, że to są jego sprawy, z którymi codziennie musi sobie radzić i nie widział potrzeby przenoszenia ich do domu...

Nie oznaczało to wcale, że w domu był ponurakiem, zrzęda, pesymistą. Wręcz przeciwnie. Zgodnie ze swoim usposobieniem starał się wnieść do domu pogodę, dobry nastrój, żart, dowcip... I to mu się przeważnie udawało. On i Barbara byli szczęśliwym małżeństwem. Budzili zazdrość innych. Nawet wtedy, kiedy zaczęło już coś gzyztać...

Ich związek trwał, bo godziły ich noce, zresztą nie tylko. Kiedy nie było dzieci i potem, kiedy były małe, także w dzień potrafili zapobiec sporom, rozładować atmosferę. Czynił to jak mężczyzna nie przywiązujący wagi do drobiazgów, traktował żonę jak kobietę zdrową, silną, jednak doznał miłosnych. Nie było to jednak łatwe. Była piekielnie dumna, uparta czasem jak mól. Przejście do stanu wojny do pokoju wymagało wielu zabiegów. Ale zawsze sobie radził. Umiał podejść do Barbary i powiedzieć najwyczerpienie: — Nie sądzisz, że zamiast się kłócić, moglibyśmy godzinę odpocząć? — Znal z góry jej reakcję. — Tobie tylko to w głowie. — Śmiejąc się wyjaśniał: — Jesteśmy młodzi, korzystajmy z życia. — Kiedy w takich okolicznościach, mał Barbare obok siebie, potrzebował dalszych zabiegów, by mieć w niej aktywną partnerkę. Leżąc obok czuł każdym nerwem, jak ona, już podniecona, siłą woli nakazuje sobie powściągliwość. Powściągliwość do końca. W kontakcie fizycznym odczuwał jak powoli wiotczeją napięte mięśnie brzucha, ud, jak powoli otwiera się moment, w którym zaczynała współdziałać, niezacznie, wolniutko, jakby wbrew sobie, jakby z bólem, by potem wejść w jego rytm. Wreszcie, by dyktować tempo...

Z pokoju, w którym spał, usłyszał jej kaszel. Suchy, ostry, męczący. Zażębiła się i swoim zwyczajem nie bierze żadnych środków. Kaszel obudzil ją albo jeszcze nie śpi. Która to godzina? Przybliżył do oczu zegarek i odnalazł układ nafosforyzowanych wskazówek. Po drugiej. Przez chwilę pomyślał, że może warto by zapalić światło i coś poczytać, ale od razu z tego pomysłu zrezygnował, wiedząc, że nie przebrnie nawet przez kilka stron. Odwrócił się na prawy bok i próbował zmusić się do myślenia o czymś pogodnym, o czymś, co przyłobny sen. Do diabła, nie potrafił znaleźć nic pogodnego. Praca... Za parę godzin stanie, jak codziennie, do swoich obowiązków. Odprawa, obchód chorych. Trzeba lepiej przyjrzeć się dziewczynie, która orzyszała na oddział: trzy dni temu. Niby nie trudny przypadek, rokowanie raczej omyślnie, ale w swojej praktyce nie lubił takich przypadków. Bywało wiele razy — stan ogólny dobry, dolegliwości nieduże, a potem, jak obuchem w leń, katastrofa...

cdn.

FILATELISTYKA — PRZYGODA INTELEKTUALNA

Filatelistykę nazwał ktoś nieustającą podróżą i przygodą intelektualną. Natomiast J. W. Goethe napisał: „Kolekcjonerzy to ludzie szczęśliwi”. Nie myślał wielki pisarz akurat o filatelistach, bo kiedy żył, nie było jeszcze znaczków, ale ta prawda o szczęściu kolekcjonera odnosi się także do zbieraczy znaczków pocztowych.

Piszę te słowa pod urokiem książki „Filatelistyka w Łódzkiem”, wydanej pod redakcją doc. Ryszarda Rosina przez Krajową Agencję Wydawniczą oraz okręg łódzki Polskiego Związku Filatelistów. Jest to szalenie ciekawa monografia ruchu filatelistycznego w naszym mieście i regionie. Publikacja uwzględnia także w zwięzłym zarysie, lecz po raz pierwszy — dzieje poczty na tym obszarze.

A jeśli chodzi o filatelistykę,

to ma ona w Łodzi stare i bogate tradycje. Dość powiedzieć, że pierwsze wzmianki poświadczające zainteresowania filatelistyką w Łodzi i regionie sięgają lat dziewięćdziesiątych XIX wieku.

Jest to więc ten mniej więcej okres, w którym powstała pierwsza polska organizacja filatelistyczna — mianowicie krakowski Klub Filatelistów. W czasie, kiedy w Krakowie — kolebce polskiej filatelistyki — powstała pierwsza firma „Bazar Marek Pocztowych”, pierwsze pismo „Polski Filatelista” — w Łodzi, zrazu nieśmiało, rozdzielił się ruch kolekcjonerski, który po latach stał się masową, szeroko dostępną podróżą i przygodą intelektualną.

Najstarsza łódzka organizacja filatelistyczna została zarejestrowana jeszcze przed odzyskaniem niepodległości, ale

już w latach 1912—1914 istniała w Łodzi firma Stanisława Naruszkiewicza, która wydała pierwsze polskie albumy filatelistyczne. W tym też czasie odbył się pierwszy w Łodzi pokaz znaczków, reklamowany w „Rozwoju” jako „specjalna wystawa marek i widoków pocztowych”.

A potem ruch szybko się rozwijał i Łódź była po I wojnie światowej prężnym ośrodkiem wydawniczym. Ukazywały się tu czasopisma: „Przegląd Filatelistyczny”, „Echo Filatelistyczne” oraz „Briefmarken — Presse” (dodatek do „Freie Presse”), a na łamach „Republiki” filatelisci znajdowali także informacje ogólne z interesującą ich dziedziny.

Wróćmy jednak do monografii. Dzieli się ona na cztery części, z których trzy mają charakter historyczny, a czwar-

ta mówi o strukturze organizacji filatelistycznej. Dla historyka dziejów kultury w Łodzi i regionie najciekawsze są owe trzy pierwsze części.

Mówią one o historii łódzkiego ruchu filatelistycznego, o dziejach poczty w naszym regionie, o wydaniach lokalnych w latach 1918—1919, o poczcie w gettach regionu łódzkiego (1940—1944), o różnego rodzaju stemplach prowizorycznych z lat po I i po II wojnie światowej.

W sumie blisko 400-stronicowa monografia zawiera ponad 20 rozdziałów, których autorami są: Henryk Białek, Walenty Bogun, Mieczysław Czernik, Elwira Danowska, Kazimierz Domaradzki, Władysław Farbotko, Tadeusz Hampel, Marian Kościelnik, Janusz Zbigniew Piekut, Stefan Pycia, Ryszard Rosin, Anna Rynkowska, Stefan Śniady, Jerzy Tokar, Lesław Zabłski.

Monografia Polskiego Związku Filatelistów jest publikacją niezwykle cenną. Rejestruje bowiem nie tylko dzieje pięknej i kształcącej pasji, ale jest zapisem bardzo istotnego fragmentu życia społecznego i kulturalnego. W bibliografii prac o historii Łodzi i regionu monografia PZF stanowi poważną i cenną pozycję.

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH BERNARD SZTAJNERT



Pierwszy rezerwowo z ławki Franza Kafki.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

WIDOK

KAŻDEMU WOLNO RZĄDZIĆ

Czasami wychodząc z kina człowiek odczuwa sporą satysfakcję, że jednak nie boryka się w życiu aż z takimi problemami, jakie gniebiły bohaterów filmu. Niestety jednak również często zdarza się westchnienie zaskoczenia: jak tamtych wszystkich gładko szło! Jak nie zauważali nawet spraw, które dla nas stanowią nieustanne źródło irytacji i bezsilnej wściekłości!

Biegnie sobie taki elegant czy też wytworna paniusia, ten ucieka przed kimś, tamten kogós ściga, wpadają w ostatniej chwili na lotnisko, dopadają do kasy, która zawsze jest czynna i nigdy nie ma przed nią kolejki, rzucają nie licząc zwitek banknotów, pędzą na pas start-

towy, wsiadają i lecą gdzie chcą! Z Paryża do Hongkongu, z Chicago do Buenos Aires, z Rzymu do Bombaju...

Żeby było jeszcze bajeczniej — telefonują na lotnisko z domu i polecają przygotować sobie bilety na żadaną trasę, pokój hotelowy gdzieś tam po świecie, z widokiem na morze lub góry, z samochodem lub bez — i to wszystko później naprawdę na nich czeka. Kelner na telefon przynosi żądane dania wprost do pokoju. Tak, sorka zjawia się natychmiast, i ledwie bohater zdąży o tym pomyśleć. Nigdy nie zablokuje się telefon, nie spóźni się pociąg, nie zgubi przesyłki poczta. Za sklepowymi ladami stoją

uśmiechnięte ekspedientki i podają czego dusza zapagnie. Panie mierzą trzysta kapeluszy — i to każdy inny! — zanim kupią z tego tuzin. Panowie mają mnóstwo czasu, poruszają się wyłącznie samochodami, nigdy nie łapią gumy i nie placą mandatów.

Zupełny Disneyland, Kraina Czarów. Mówiło się niedawno, że rzeczywistość wyprzedziła dawne dziecinne wyobrażenia bajeczne, że umiemy stwarzać większe cuda niż głupi stółczek, co się sam nakrywał, i jeszcze głuszy latający dywan; na którym nie było baru i telewizora. A tu okazuje się, że w sferę bajek przesuwać się zaczynają nawet te sprawy,

które już dawno chcieliśmy uznać za normalne. Takie beztrońskie wpadnięcie do samolotu w ostatniej chwili to przecież zupełna bajka! Na Okęciu każą pasażerom meldować się najpóźniej dwie godziny przed odlatem, pod rygorem wykluczenia gościa z grona podróżnych. Żeby dotrzymać tego terminu, kandydat na pasażera musi wyjść z domu — jeżeli mieszka w Warszawie — jeszcze dwie godziny wcześniej, nie licząc kilkunastu godzin, które w ciągu paru poprzednich tygodni przejeździł po różnych urzędach i przestał w kolejkach, żeby sobie zapewnić paszport i miejsce w samolocie. Bajką do sześciu godzin zaczyna być zatławienie czegośkolwiek przez telefon — nawet takówka zza rogu nie podjedzie, ech — tam nawet nikt nie podnieśnie słuchawkę.

Z jednej strony zawrotne wynalazki, mające dać człowiekowi ogromne, niezmiernie

pole działania, z drugiej zaś gęstniejąca, lepka, ciężka sieć ograniczająca swobodę działania pojedynczego człowieka do zera. Nakazy, zakazy, poszturchnięcia i reprimendy spijają się na nieszczęśliwą głowę czegoś, co miało brzmieć dumnie. Ledwie dwóch — trzech typów poczucie się instytucją, już wydają własne kodeksy i potrają własnymi sankcjami. Kto wydał nakaz zgłaszania się na lotnisko z dwugodzinnym wyprzedzeniem? Kto straszy niezabranem w podróż człowieka posiadającego bilet tylko dlatego, że uwierzył w rozkład lotów a nie studiował dodatkowych obostrzeń? Dyrekcja Lotu?

To może dyrekcja MPK ogłosiła nagle, że tramwaje nie będą zatrzymywane na przystankach, na których ludzie nie ustawią się podług wzrostu? A może MPO zarządził nieodbieranie śmieci z domowych puszek, jeśli lokatorzy nadal bę-

da wrzucać do tych puszek nieprzyjemnie pachnące reszki? Może każdy sklep wywiesił w drzwiach regulamin własnej pracy i żeby człowiek mógł coś kupić, będzie musiał studiować te wszystkie ostro brzmiące paragrafy? Po mleko stać na jednej nodze, po chleb przychodzić wyłącznie o godzinie szóstej, po napój Dodoni w srody i piątki?

W instytucji, w której pracuje, pani prowadząca bufet ogłosiła wczoraj: jeśli natychmiast nie zostaną zwrócone szklanki, zamknę interes. Mogłem dostać cholery, słysząc taką pogrozkę. Nie dostałem jednak, bo ta pani jak zeche na pewno bufet zamknie. Nikt bowiem niezgodnie nie musi, natomiast, każdy może uznać cały świat poza swoją sferą interesów za kupę mierzwy do deptania.

CWIEK

RZECZ O KAROLU LIBELCIE

Nie ma to, jak być poetą, a jeśli zupełnie nie można, to przynajmniej powieściopisarzem. O ludziach, którzy pisali wiersze lub powieści, młodzi uczy się w szkołach, stawia się im pomniki, ich imieniem nazywa ulice. Każdy ich zna, nawet kiedy nie przeczytał ni linijki z tego, co napisali. Był wszakże i u nas czas, że pisarzem — poetom i beletrystom — dorównywali pod względem popularności oraz powszechnego szacunku także niektórzy inni twórcy. Tak też było w przypadku wybitnego filozofa, działacza politycznego i oświatowego z ubiegłego stulecia, Karola Libelty. Pod koniec życia cieszył się on uznaniem i popularnością, które można doprawdy porównywać z popularnością samego Józefa Ignacego Kraszewskiego. Podróż K. Libelty do Galicji w 1869 r. okazała się być

prawdziwie triumfalnym pochodem. Witano go po drodze tłumnie, z zapalonymi pochodniami, organizowano przeróżne uroczystości, przyjęcia, posiedzenia, wypowiadano mowy i toasty. Lwowski i krakowski odczyty poznańskiego myśliciela spotykały się z entuzjastycznym przyjęciem słuchaczy, zaś powściągliwą rezerwą władz. Jakżeż mogło być inaczej, skoro sędziwy myśliciel powiedział z mównicy: „Wszędzie Polska jedna, ukochana macierz synów, miłujących się wzajemnie, a ta miłość jest dla nas najpewniejszą rękociągą, że ona wolna i cała zmartwychwstała”. Słuchacze mogli nie zawsze godzić się z solidarystycznymi akcentami rozważań człowieka, który miał za sobą piękną, demokratyczną przeszłość, przecież nie mogli być obojętni wobec patriotycznej i niepodległościowej wymowy libelto-

wej refleksji. Przypomnijmy, kiedy to było: ledwie rozpoczynała się repolonizacja życia w Galicji, ledwie język polczył wracać w mury Wszechnicy Jagiellońskiej, gdzie władze nie bez obaw zezwoliły na kreowanie pierwszej katedry historii Polski... Było to akurat w czasie, kiedy niespodzianie odkryte w wawelskiej katedrze zwłoki Kazimierza Wielkiego sprawiło galicyjskim prominentom nie lada kłopot: obawiano się jakichkolwiek uroczystości, aby nie „rozniecać” podejrzanych uczuć patriotycznych, zawsze źle widzianych przez Wiedeń. W tej to właśnie atmosferze dokonywał K. Libelty swojego triumfalnego objazdu głównych miast Galicji.

Nie był K. Libelty poetą, a choć próbował pióra i w beletrystyce, nie był powieściopisarzem, a przecież był za życia człowiekiem ogromnej po-

пулярności: imię jego „jaśniało pełnym blaskiem w czasach bezpieczeństwa polskiej”. Urodzony w Poznaniu syn szewca i służącej, wychowanek uniwersytetu berlińskiego, uczeń wielkiego Georga Willelma Hegla (który był promotorem jego doktoratu), uczestnik walk powstania listopadowego, członek Rządu Narodowego i więzień moabicki w dobie Wiosny Ludów, działacz parlamentu frankfurckiego w 1848 r., wleoletni poseł do sejmiku pruskiego, sam wyrobił sobie K. Libelty poczesną pozycję w polskim społeczeństwie. Wyrobił ją swoją wielostronną aktywnością na różnych polach, przede wszystkim zaś twórczością pisarską. Pisma jego były chętnie czytane: z pewnością nie tylko dla swoich walorów literackich, czy wartości informacyjnych. O popularności pisarstwa K. Libelty zadecydowało, jak się zdaje, przede wszystkim to, że był on autorem takich słynnych niegdyś tekstów, jak esej „O miłości ojczyzny” czy esej „O odwadze cywilnej” oraz innych, należących do że-

laczego katalogu lektur patriotycznych w swej epoce.

Książka znanego poznańskiego historyka Zdzisława Grotta „Życie i działalność Karola Libelty (1807—1875)” opublikowana przez poznański oddział Państwowego Wydawnictwa Naukowego (1977) z pewnością nie zastąpi pełnej, wyczerpującej monografii, na którą postać jej bohatera zasługuje. Na powstanie takiego obszernego dzieła wypadnie jeszcze sporo czekać, wiele jest bowiem przedtem do zrobienia. Należałoby przede wszystkim opublikować drukiem zachowaną spuściznę epistolograficzną myśliciela, która stanowi bezcenne źródło nie tylko dla poznania jego życia i działalności, lecz także wielu istotnych problemów naszych dziejów w XIX stuleciu. Zdzisław Grot sygnalizuje dziś, że praca ta jest już w toku. Warto byłoby pomyśleć o zbudaniu zachowanych rękopisów K. Libelty. Zanim jednak wszystko to zostanie dokonane, trzeba zadławić się skromniejszymi dokona-

niami, w rodzaju książki, którą dał nam do ręki poznański uczonec. Jego rzecz o Karolu Libelcie to z pewnością rzetelna, wartościowa książka, rozszerzająca i systematyzująca naszą wiedzę o tej wybitnej postaci, a jednocześnie przybliżająca myśliciela współczesnemu czytelnikowi. Jest to praca historyczna, ujęta w dawnej, narracyjnej konwencji: koleje życia bohatera stworzyły os, wokół której autor zorganizował materiał informacyjny, którym dysponował. Przy takim ujęciu ostrzej zarysowały się sprawy różnorodnych form aktywności K. Libelty zwłaszcza na polu politycznym, zaś jego twórczość znalazła się niejako na drugim planie. Dotyczy to w szczególności twórczości filozoficznej bohatera książki: analiza wszakże tej problematyki wykazałaby znacznie poza ścisłe kompetencje historyka, nie zajmującego się badawczo historią filozofii.

ANDRZEJ F. GRABSKI

BŁYSZCZĄCA KULA

W Krakowie, w czasie remontu wieży, znaleziono w kuli, wieżę tę zdobliła, kilka dokumentów oraz dwa cygara. Dokumenty pochodzą z XV, XVIII i XIX wieku. Kto je tam umieścił, tego nie wiadomo. W jakim celu? Też nikt tego nie wie. Dokumenty oraz cygara przechowały się znakomicie. Przeważały się nad Krakowem burze — i te atmosferyczne i te dziejowe — a dokumenty tkwiły sobie spokojnie w błyszczącej kuli. Umyślono więc w Krakowie, aby zabytki znalezione w kuli włożyć tam ponownie i dodać współczesne. Za sto parę lat, jak wszystko pójdzie dobrze, znów będą wieżę remontowali i znajdą zabytki nam współczesne, a dla nich już historyczne. Może wpadną na podobny pomysł, wszystko zostawią i

dolozą swoje. I tak będzie kontynuowana w daleką przyszłość sztafeta pokoleń.

Nie wiem, czy projekt ten znajdzie uznanie władz Krakowa i czy będzie zrealizowany. Zdziwił mnie wszakże fakt niemal niebawmy, a mianowicie owo znakomite przetrwanie rzeczy włożonych do błyszczącej kuli. Mniejsza z tym, kto je tam włożył i po co? Zadziewiające jest to, że przez nikogo nie chronione i nie konserwowane przekazy z przeszłości przetrwały sobie lata i są — jak twierdzą specjaliści — w znakomitym stanie. W błyszczącej kuli nie im się nie stało, a zabytki z muzeów, bibliotek i archiwów niszczyły i miały się za stracone, aby nie które z nich uratować. Po prostu nie dostaje nam pracownicy konser-

watorskich i specjalistów, którzy potrafiliby podjąć ogromny konserwatorski zadaniem.

Zwykło się mówić, że papier jest cierpliwy. Istotnie, można na nim wypisywać różne rzeczy, a on to wszystko znosi. Ale do czasu. Różna jest bowiem jakość papieru. Jeden niszczeje szybciej, inny wolniej. Niektóre biblioteki już nie wszystkim chętnym wypożyczają czasopisma z dawnych lat. Wymagać one bowiem konserwacji, a w Łodzi nie ma pracowni konserwatorskiej, która ratowałaby czasopisma przed niszczeniem. Udostępnia się więc je tylko tym, którym prowadzi prace naukowe, którym jest to niezbędne. Podobnie rzecz wygląda ze starymi książkami.

Posiadamy wiele cennych rzeczy, które warto byłoby uratować dla

przyszłych pokoleń. Ale gdyby nawet w każdym mieście była taka czardzielska kula jak w Krakowie, to nie rozwiąże ona problemu. Chronić trzeba bowiem nie tylko dobra materialne, ale i to, co zachowało ludzka pamięć, a co świadczy powinno w przyszłości o naszych i przeszłych czasach.

Wydadłbym wielkie pieniądze na ratowanie zabytków i chwylałbym tym przed innymi. Siłownie zresztą, ale ten nasz duży wysiłek nie odpowiada jeszcze potrzebom. Z wielkim pietyzmem odnosimy się do niektórych zabytków dalekiej przeszłości. Dobrze, że tak robimy, bo szukamy w przeszłości motywacji historycznych dla naszych czasów, bo uczyniły ludzi szacunku dla naszej przeszłości. Oceniamy przecież naszą przeszłość krytycznie, ale też szukamy w niej tego wszystkiego, co było światłem i postępowe, co warunkowało naszą historyczną ciągłość. Tylko, że często pojęcie przeszłości odnosimy do bardzo dalekich historycznych okresów.

Niedawno w „Trybunie Ludu”

Byszard Pietrzak zwrócił uwagę na fakt dość nikłego zainteresowania się XIX wiekiem, a przede wszystkim dziejami klasy robotniczej w tym okresie, jej codziennym życiem, pracą i tym wszystkim, co zachowało się z tamtych czasów. A przecież już początki naszego stulecia, a nawet początki Polski Ludowej stały się okresem historycznym, o badaniach nad którym też trzeba myśleć.

Rozmawiałem niedawno z młodym historykiem, który zwrócił moją uwagę na potrzebę ankiegowania ludzi, gromadzenia ich wspomnień, zbierania dokumentacji o czasach najnowszych. Zachowane dokumenty nie zawsze bowiem oddają to, co dla historyka może być równie ważne: atmosfera, nastroje, sposób myślenia i uczucia, sposób życia, to wszystko, co zachowało się w ludzkiej pamięci i wraz z nią może odejść w niepamięć.

Mijają na przykład 33 lata od daty wyzwolenia Łodzi spod hitlerowskiej okupacji. Dla jednych

to wspomnienia, to chwila, kiedy skończył się koszmar. Dla innych — historia. Kiedy to się działo, ich jeszcze nie było na świecie. I jeśli dla nich nie zachowały jak najmniejszej pamiętek z tego czasu i z czasów wcześniejszych, to może nawet nie bardzo będą mogli sobie to wszystko wyobrazić, zrozumieć. Stąd chyba wnikosek prosty: trzeba troszczyć się o pamiętki przeszłości, o dokumenty, zapisy wspomnień, fotografie i wszystko to, co o tamtych czasach mogłoby świadczyć przyszłym pokoleniom. Trzeba to jednak nie tylko gromadzić, ale dbać również o to, aby zachowało się i przetrwało w nienaruszonym stanie. Trzeba więc zabytki przeszłości nie tylko gromadzić, ale i konserwować. Zabytki nie tylko te najdawniejsze, ale i te najnowsze.

MARCIN RODAK